



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Dziwną bywa assocyaacya myśli; kiedy jednym poetyczny zawsze i uroczy Maj przypomni piosnki Heinego, koncerta słowików, woń bżów i konwalii, miłosne marzenia i szept przy świetle księżycy; drugim najsmaczniejsze nowalijki, raki, kurczęta, szparagi, mizerya i kwaśne mleko z młodei kartoflami, mnie—przypominają się blade, mizerne, z jednym wypiekiem na licach, smutnie zadumane twarze... suchotników.

A wiecie czemu? oto dlatego, że ten najłagodniejszy miesiąc dojrzałej wiosny chorą pierś dostarcza wolniejszego tchnienia, serca odżywia jakąś radosną nadzieją wyzdrowienia i dodaje trochę sił zwątlonym organizmom.

W Maju wraca uśmiech na spalone gorączką usta suchotników, w Maju jakoś im lepiej bywa i radośniej spoglądają po ziemi, wdzięczniej patrzą ku słońcu, którego może więcej oglądać nie mieli, cieszą się widokiem kwiatów i rozkoszują ich zapachem, są znowu szczęśliwi, spokojni, jacyś pewniejsi życia do przyszłego Listopada i słotnej jesieni.

A suchotników mi przypomniał także dr Henryk Dobrzycki swoją broszurą, która, jako odbitka z „Medycyny”, ukazała się właśnie p. t. „O konieczności oddzielnych sanatoryów dla chorych piersiowych”.

Dr Dobrzycki jest dobrze znanym specjalistą, był dłuższy czas lekarzem szpitala w Mieni, obecnie jest lekarzem stacyi klimatycznej w Sławucie i należy do tych synów Eskulapa, którzy dla dolegliwości zbierają ludzkich nie tylko doświadczone rady w swoim zakresie, ale mają nadto wrażliwe serce na niedolę bliźnich i ze współczu-

ciem dla cierpiącego ogółu zajmują się umniejszeniem mu chociaż fizycznych dolegliwości.

W swojej ostatniej pracy poruszył też kwestyą wielkiej wagi pod względem zdrowotnym; oto na podstawie własnych i cudzych badań doszedł do przekonania, iż przy dzisiejszej organizacji naszych szpitali bezwzględnie największa śmiertelność wśród suchotników przypada na chorych leczących się właśnie w szpitalach, i że przyczyną tego smutnego faktu szukać należy wyłącznie w tem, iż pacjenci tacy zamiast oddychać czystym powietrzem, jakiego ich chore płuca koniecznie potrzebują, zmuszeni są przebywać całe miesiące w atmosferze przepełnionej miazmatami szpitalnemi.

Dzisiejsze spostrzeżenia i zdobycze naukowe wszechstronnie potwierdziły konieczność odosobnienia chorych piersiowych od innych i jako *conditio sine qua non* otrzymania dobrych skutków leczniczych takie izolowanie uznają.

Anglicy najpierw zastosowali też u siebie ten warunek, budując lecznice wyłącznie dla suchotników.

U nas, jako pierwsze usiłowanie na tem polu należy uważać otwarcie przed jedenastu laty oddziału dla chorych na piersi przy szpitalu w Mieni.

Dr Dobrzycki opowiada zajmujące szczegóły o rozwoju i rozmaitych usiłowaniach w celu urzeczywistnienia projektu urządzenia stałej stacyi leczniczej dla suchotników w Mieni, wyraża nadzieję, że przy budowie nowego szpitala „Dzieciątka Jezus”, chociaż jeden pawilon, lub pewna ilość baraków stosownie urządzonych dla tego rodzaju pacjentów powstanie.

Na ogół biednych szpitalników warszawskich, ogromną liczbę stanowią chorzy piersiowo; przed dwoma laty leczyło się ich 1.630.

Suchoty, niestety—zabierają stosunkowo największy procent ofiar, i to spośród ludzi w rozkwicie wieku i życia, bo pomiędzy 20-ym a 40-ym ro-

kiem; wydierają niejako rdzeń ogółu. Przedwcześnie marnieją i giną jednostki, któreby jeszcze lata całe pracować mogły, nie tylko pod względem humanitarnym, moralnym i społecznym, ale i ekonomicznym.

Szpitaly zaś, do których ci nieszczęśliwi uciekają się po pomoc i ratunek, bez względu na sam stopień choroby, są dla nich raczej „domami przedpogrzebowemi, w najściślejszym tego słowa znaczeniu”.

Dr Dobrzycki wypowiada otwarcie bardzo smutną prawdę i ostrzeżenie w tych słowach:

„Szpital, który nie ma dla suchotników oddzielnych, ściśle izolowanych pomieszczeń z odpowiednimi urządzeniami, a pomimo tego ich przyjmuje na kuracya i mieści ich we wspólnym gmachu razem z innymi chorymi, traci całkiem charakter dobroczynnej instytucyi, bo się bezpośrednio przyczynia rzeczonym chorym do rozwinięcia choroby i skrócenia im życia”...

Co więcej, nie dosyć, że tacy chorzy sami się dobijają w szpitalnej atmosferze, ale narażają innych towarzyszy niedoli.

Poszukiwania dr Corneta wykazały, że w kurzu 38 sal szpitala, w których się mieścili suchotnicy wspólnie z innymi pacjentami, tylko w czterech nie znalazł chorobotwórczych bacillusów.

W szpitalach warszawskich śmiertelność suchotników jest przerażającą; umiera ich przeciętnie jedna trzecia, z pozostałej reszty w następnym roku połowa znajduje się na stole sekcyjnym, a po upływie trzeciego lub czwartego z całego tysiąca lub tysięcy leczonych w szpitalu, kto wie, czy kilka osób ocaleje!

Gdyby tego nie mówił poważny lekarz, zakrawałoby to na bolesną ironią, lub na oszczerstwo.

Wobec tych smutnych nad wyraz doświadczeń, pozostaje zatem:

1) Zakładać odpowiednio urządzone lecznice poza obrębem miasta, w okolicach lesistych, oile możliwości, i to najwyżej dla 20—25 pacjentów.

2) Leczyć chorych po domach w razie niemożności pomieszczenia ich w takich sanatoryjach, pielęgnować ich pod opieką towarzystwa, któreby przyjęło na siebie rolę miłosiernego Samarytana i szarytki, na wzór paryzkiej *Assistance publique*, utrzymywanej z dobrowolnych ofiar i rozdającej ubogim chorym po domach bony na opał, mięso, mleko, lekarstwa i t. d. przez ręce specjalnych lekarzy tej instytucji.

W tej kwestyi dr Dobrzycki nie poraz pierwszy zabiera głos; przemawiał już przed dziesięciu laty w tymsamym przedmiocie w „Medycynie“, a drugi, zaszczytnie znany laryngolog dr Heryng w r. 1887-ym w „Gazecie lekarskiej“ pisał o konieczności zakładania sanatoryjów dla biednych chorych.

Wszystko to wszelako pozostało dotąd w dziedzinie projektów, dobrych chęci, spraw bieżących, ale nie rozstrzygniętych, i Bóg raczy wiedzieć, kiedy wejdzie na drogę urzeczywistnienia.

Nasza przechwalona ofiarność publiczna w ostatnich czasach zrobiła się niemal skąpą, każe z siebie ściągać dobroczynny haracz jakby gwałtem albo wyłudzać sztuczkami; najmniej względów jej posiadają wszelako instytucje tak wielkiej filantropijnej użyteczności właśnie, jak szpitale, mimo to, iż na te względy wyjątkowo zasługują, zwłaszcza od chwili zagrożenia cofnięciem rządowego zasiłku, który dotąd wynosił poważną sumę blisko 150.000 rubli.

O potrzebie założenia u nas towarzystwa pielęgnowania i wspomagania chorych po domach, jako też niesienia doraźnej pomocy w nagłych wypadkach na ulicy, przemawiałem sam kilkakrotnie na tem miejscu i gdzieindziej, ale głos przebrzmiał taksamo, jak przebrzmiewa sprawa opieki nad podrzutkami i niemowlętami, która po zbrodni przy ulicy Śliskiej, zaalarmowała nietylko całą Warszawę, ale kraj cały.

Choć nie mam wiele nadziei, aby tym razem ta sama myśl trafiła prościej do celu, wierzę jednak w działalność kropli, która spadając w jedno i to samo miejsce nieustannie, wyłabia nawet kamień na końcu — i dlatego piszę.

Nasza opinia publiczna ma usposobienie płochęj istoty, przejmującej się wrażeniami póty, póki go nie zatrze inne, a wtedy z łatwością zapomina o wszystkich poprzednich i obojętnie spogląda na swoje dawne ideały.

I to już tyle razy się mówiło w rozmaitej formie i rozmaitych okazjach, ale cóż nowego pod słońcem? „Wszystko to już było“ — w moich zarówno, jak i w cudzych felietonach.

Kwestya bulwarów nad Wisłą także już była u nas na porządku dziennym, a obecnie wcisnęła się, strącając inne, na swoje dawne miejsce i zajmuje Warszawę w ogólności, a aż trzy komisyye pod przewodnictwem Ludwika hr. Krasińskiego w szczególności. Komisyye te „wysadzone“, jak się to mówi podobno w Galicyi — przez władze miejskie roztrząsają obecnie w szczegółach i projekt, i warunki jego wykonania przez inżyniera francuzkiego p. Devarsa, któremu przyszła śmiała myśl do głowy przyozdobienia piękną dzielnicą Warszawy między żelaznym mostem na Wiśle, a stacją przewoźników na Solcu.

Dzisiaj na tem miejscu stoją puste place, nędzne domki, stare rudery, jest tam ciemno, brudno, nie bardzo bezpiecznie nocną porą, dosyć niezdrowo a bardzo brzydko dla oczu, które nawet nigdy w życiu nie widziały wybrzeża Sekwany w Paryżu, Dunaju w Wiedniu i Pesce, albo Sprewy w Berlinie.

Za cztery lata mogłoby być całkiem inaczej, inaczej do niepoznania, gdyby miasto zgodziło się na projekt p. Devarsa, który obiecuje Powiśle na tej przestrzeni od Zjazdu do Solca uporządkować, opatrzyć od strony rzeki kamienną ścianą, wyrównać, upiększyć, pobudować okazałe domy, założyć skwery i plantacye, słowem wznieść bulwar, o jakim nie marzyliśmy nigdy, chodząc nad Wisłą, brnąć w błocie lub piasku do przystani Towarzystwa wioślarskiego, lub wracając z Saskiej Kępy po niedzielnych majówkach.

Za te cuda budownicze i inżynierskie p. Devars żąda, aby mu miasto ustąpiło gruntu położone nad brzegiem Wisły, pomiędzy nowym bulwarem a ulicami Dobrą i Solcem w tym stanie,

w którym się teraz znajdują bez względu na to, czy są zabudowane lub nie; jest tu mowa, rozumie się, tylko o gruntach, stanowiących własność miejską, nie prywatną.

P. Devars w przybliżeniu oblicza wartość tych gruntów na 5 milionów rubli, zaś kosztu budowy na półpięta; pozostanie mu tedy w spodziewanym zysku na procenta i amortyzacją kapitału pół miliona rubli, co nie jest znowu tak dużo przy przedsiębiorstwie tak ogromnem i ryzykownem.

Kapitału mają dostarczyć rodacy i wspólnicy francuzkiego inżyniera.

Przed laty dziesięciu z podobnym projektem występował p. Władysław Kronenberg na czele spółki również zagranicznych kapitalistów, ale wówczas pora była nieprzychylną, miasto zabierało się do budowy kanalizacji i wodociągów; odłożono sprawę *ad acta*.

Dzisiaj pomyślniejsza podobno nadeszła chwila; od orzeczenia komisyyj rozpoznawczych zależy los bulwarów i ugody z p. Devarsem, a w interesie miasta, jego mieszkańców, jego warunków zdrowotnych, z higienicznych, estetycznych i ekonomicznych względów, pragnąć-by należało, aby ta ugoda okazała się ewentualnie możliwą, jakkolwiek i inicjatywa, i fundusze, i zasługa wykonania dzieła na swojskim gruncie będą obce.

Tymczasem my sami będziemy budowali coś innego; będziemy budowali kryty chodnik na sześć łokci szeroki, a ośm wysoki, asfaltowany, ze ścianami ruchomymi, który od ulicy Niecałej prowadzić będzie do letniego teatru w Ogródzie Saskim.

Kosztu tego kurrytarza wynosić mają około 12.000 rs.

Repertoar, dzięki sprężystej reżysseryi, obraca się jak... sprężynowy wałek katarynki zawsze z temisami sztukami — „Faust“, „Aida“, „Faworyta“, „Trubadur“, „Hugonoci“, „Hugonoci“, „Trubadur“, „Faworyta“, „Aida“, „Faust“, *e sempro da capo senza fine*.

Zdawałoby się, że od lat pięćdziesięciu, a przynajmniej dwudziestu pięciu, przestano w Europie zupełnie komponować nowe opery a ze starych mniej znanych u nas popaliły się wszystkie partytury, tymczasem to tylko panowie reżysserowie i dyrygenci opery warszawskiej pozasypiali w swoich ciepłych szlafrokach i pantoflach na wygodnych, dobrze wygniecionych fotelach dygnitarskich.

Operetka natomiast rusza się na wzór „Lekkiej Kawaleryi“, która obecnie stanęła załogą na malej scenie; zaraz poznać, że kierownik jej, p. Sliwiński, ma w sobie dużo krwi i militarynych skłonności „Porucznika Szykowskiego“. Jedną ręką wprowadza teraz na deski nowego teatru „Komedya do spółki“, drugą „Biednego Jonathana“, a jestem pewny, że którąś nogę przerabia, albo tłómaczy jaką nową farsę niemiecką.

„Komedya do spółki“ ma podwójne znaczenie tytułu swego: raz odnosi się ten tytuł do sztuki samej, drugi raz do autorów, z których obaj mają już dobre firmy w literaturze bieżącej.

Jasieńczyk, laureat konkursowy, twórca „Leny“, i Kosiakiewicz, znany nowellista połączyli swoje talenta i pióra, a z tego związku przyszła na świat oryginalna „Komedya“, którą Teatr nowy rozpocznie swoją letnią działalność.

W świecie muzykalnym mieliśmy w ostatnich dniach wielkie ożywienie; naszym erudytem i znawcom muzyki z professyi niespodziankę zrobił p. Alfred Reisenauer, który zjechał do Warszawy nie poprzedzony żadną trąbą reklamy, żadną legendą europejską ani amerykańską, wyszedł na estradę w Resursie Obywatelskiej, usiadł do fortepianu i jak zagrał, tak krytyka — plackiem padła odrazu, a słuchacze z entuzjazmu omal stołków nie porozbijali, gdy im dłonie od okłasków popuchły.

Okazało się, że młody pianista jest w całym tego słowa znaczeniu znakomitością pierwszorzędną, którą trzeba porównywać tylko z takimi potęgami, jak mistrz jego Liszt, Tausig lub Rubinstein.

Wyznaję, że nigdy w życiu nie zdarzyło mi się w jednym artyście widzieć tylu połączonych zalet

techniki, uczucia, siły, poezyi, zrozumienia wszelkich kompozytorów, ile w Reisenauerze; wydobywa on z fortepianu syrenie śpiewy, dźwięki eolskiej harfy i ryk uraganów, gromy i pioruny na przemian z gołębiem gruchaniem i słowiczymi trylami.

Takiego *pianissima* nie słyszano chyba jeszcze nigdy na estradzie koncertowej w Warszawie, a taką demoniczną siłą i brawurą od czasów Liszta nikt chyba słuchaczom swoim nie imponował.

Z powodu tej delikatności uderzenia przypomina mi się jeden z tysięcy dowcipów Maurycego Moszkowskiego, znanego muzyka i kompozytora. Było to na koncercie w jakiejś niemieckiej rezydencji; młody pianista, popisujący się wobec dostojnej publiczności, przesadzał w *pianissimach* i cieniowaniach; chciał wydobyć najwyższy efekt najcichszymi dźwiękami.

Zeszedszy z estrady, zbliża się do jednego z arystarchów krytyki i pyta nieśmiało:

— No, jakżeż było?..

Zapytany z poważną miną odpowiada koncertantowi:

— Gdybyś pan był troszeczka jeszcze cichej zagrał, byłbyś jutro z pewnością zamianowany rzeczywistym tajnym pianistą dworu!..

Na pierwszym koncercie Reisenauera u nas były pustki, ale na następne już trudno się było dotłoczyć. Artysta, jak Cezar, odniósł tryumf: „przyjechał, zagrał i zwyciężył“, bez wszelkiej poprzedniej reklamy. A mógł być zrobić ją sobie bardzo łatwo, uprzedzając publiczność i prasę, że pochodzi z Królewca, że babka jego była Polką, że Liszt umyślnie dla niego swoje kompozycje przerabiał, aby je większymi trudnościami naszpikować i t. p.

Na brak rozgłosu za to przed swoim przyjazdem do Warszawy nie mogła się uskarżać, młodziutka, ośmastoletnia primadonna, p. Irena Abendrotówna, stypendistka galicyjskiego Wydziału Krajowego, nadobna lwowianeczka, która wkrótce będzie, jak przepowiadają: najcenniejszą *divą* opery wiedeńskiej.

Wiedeńscy korespondenci i nasza miejscowa reporterya zapowiadali jej przyjazd na kilka tygodni naprzód, jako coś nadzwyczajnego; no, i powtórzyła się ta sama historia, co z p. Frenkiel, zamiast pomódz, zaszkodono tym zbytciem reklamy.

Przyjechała, zaśpiewała na estradzie raz i drugi, publiczność przyszła na koncert w przekonaniu, że usłyszy co najmniej drugą Patti, a wyszła z tém przeświadczeniem, że ma przed sobą niepospolicie uzdolnioną muzykalnie sopranistkę z prześlicznym świeżym głosem, podatnym do koloratury, ale wymagającym jeszcze studyów, jeszcze pracy i wydoskonalenia. Słowem: znalazła znakomitą uczennicę, świetny materiał i zapowiedź dopiero przyszłej znakomitości w świecie operowym.

Inaczej też być nie mogło; w ośmnaście latach rudno jest być skończoną primadonną, nawet przy fenomenalnych zasobach głosu i zdolności; bywa się wschodzącą gwiazdą, która o południu swoim przy szczęśliwych okolicznościach może urosnąć nawet w olśniewające słońce.

Co do mnie, przypuszczam, że panna A. będzie takim słońcem, które tylko świeci, lecz nie rozgrzewa, bo mu brak ciepła przy całym blasku; w śpiewie młodej *divy* dotychczas, niestety, brak uczucia.

Może ono jeszcze się odezwie, gdy się w panience... serduszek obudzi.

Co prawda, z tem sercem trzeba przyjść już koniecznie na świat, z tem sercem, co nie jest tylko muskulem, tłokiem i pompką krwi w organizmie, ale siedliskiem uczucia, gniazdem miłości, zniczem żywota w człowieku.

Dwa tygodnie temu ubyło nam jedno takie dobre, zacne, gorące serce, zamarło w piersiach uczynnego obywatela, s. p. Władysława Colonna Walewskiego, ziemianina z zawodu, jednego z ludzi wyjątkowych a pożytecznych, choć działających skromnie, cicho, bez rozgłosu i na uboczu. Nieboszczyk był bratem Cypryana, znanego bibliografa, historyka i bibliotekarza, właścicielem rodzinnych dóbr Milonice, w Gostyńskim, gdzie

słynął, jako wzorowy gospodarz, hojny i uczynny sąsiad, gotowy w każdej chwili do pomocy i porady. Jeden z jego biografów w ten sposób pisze o nim:

„Przez lat 44-ry oddawał się z niestrudżonym zamięłowaniem pracy rolniczej. Rezultatem tej rozumnej i wytrwałej pracy był kwitnący stan gospodarstwa na czterech folwarkach, składających majątność miłoniczą. Ziemia doprowadzona do wysokiego stopnia kultury, inwentarze liczne i wyborowe, budynki przeważnie murowane, zawsze w najlepszym stanie, postawiły Miłonice w rzędzie najlepszych gospodarstw rolnych w kraju. Jedyną budowlą starą w Miłonicach był dwór drewniany, czasy saskie pamiętający, z wysokim dachem o dwóch kondygnacjach, niskimi pokojkami i małymi oknami. Skromne, niemal ubogie umeblowanie, okna zastawione doniczkami, ganek tradycyjny, lipy osłaniające front domku, czyniły ten cichy domek typową siedzibą starszłacheckiego życia. Myśl współczesna jednak dostawała się tu zarówno przez liczne czasopisma, zalegające skromny stół, zastępujący biurko w pokoju gospodarza, jak i przez książki, z bogactwem zasobny księgozbiór, złożony z dzieł historycznych i belletrystyki.“

Kiedy w r. 1879 nieboszczyk Filip Sulimierski powziął śmiałą myśl wzbogacenia naszej literatury pomnikowym wydawnictwem „Słownika geograficznego“, Walewski ofiarował z dobrej woli swoją materialną pomoc do tego przedsięwzięcia, dzięki czemu tak wielkie dzieło mogło być podjęte i w dwóch trzecich częściach do skutku doprowadzone.

Dziesięć tomów wyszło już z druku, a około 15.000 rs. z własnej kieszeni dopłacił Walewski do tego wydawnictwa; umierając zaś, wspaniałomyślnie przekazał pozostałe egzemplarze Kassie Mianowskiego na własność z prośbą o dokończenie dzieła pod opieką tej instytucji.

Spadkobiercy szanując wolę i intencje zmarłego, zobowiązali się podobno z odziedziczonych funduszy dodać jeszcze około 6.000 rs. gotówki, aby „Słownik“ do końca dociągnąć i zbudować w całości monumentalne dzieło, które chlębę naszej literatury stanowić będzie, a pamięć swego inicjatora zarówno, jak wydawcy, ku uczczeniu następnym pokoleniom przekazać.

Quis.

KRAJ RUSAŁEK.

Jest jeden cudny kraj,
Gdzie wciąż panuje maj.
Chociaż gdzie indziej sroży się zima,
Do niego ona przystępu niema.

Gdy szklana zamknie się brama,
Do kraju tego wzbroniony wchód,
Póki nie przyjdzie wiosna sama,
Przynosząc światu cud. —

Wrzeczadze szklanych pękają wrót
Gdy do nich wiosna zakolata,
By dla ziemskiego przynieść świata
Zbudzony życia cud.

I majowego słońca wschód
Dwóch światów wdzięczny czar odstania
Dwa światy czują rozkwitania
Rozkoszy pełen cud.

Bronisław Grabowski.

Notatki pedagogiczne.

— Wprowadzenie w umysł dziecka pojęć moralnych¹⁾ odbywa się nieskończenie gruntowniej i silniej przez przykład, niż przez możliwie najlepsze nauczanie a nawet w latach dzieciństwa, pierwszy zmysł moralny dziecka kształci się jedynie przez wrażenia, za pośrednictwem przykładu odbierane. Dziecko nie rozumie dokładnie znaczenia wyrazów, które prędko ulatniają mu się z pamięci i wychowanie powinno przede wszystkim stworzyć mu nawyki dobre, które stałyby się podstawą dla życia wiedzonego moralnie, pierwej, niżeli wybór woli każe istocie młodej zwracać się w tę stronę. Wtedy wypełnianie cnoty, posłuszeństwo obowiązkom przychodzi spokojnie, jakgdyby skutek skłonności naturalnych i axiomał, że nawykanie jest drugą naturą, dowodzi się najsilniej przez skutki, jakimi wpływy wychowania wykazują się w życiu.

Ale jest to dopiero droga do dobrego utworzenia — wyrobienie doń nagięcie, na czym wychowanie poprzestać nie może. Rozum to kogoś innego, uczucie kogoś innego: ojca, matki, nauczyciela, w młodą istotę wprowadzone i działające w niej; trzeba przecież, aby się ona sama dobrowolnie, własnowolnie do aktów czynienia dobrze podniosła, najpierw chęcią, zamiarem do brym, a potem uczynkiem.

Dobremi zamiarami ma być podobno brukowane piekło; niemniej przecież zamiar dobry oznacza już wolę ku dobremu skłonioną. Szlachetny ideał cnoty już przed młodym umysłem stoi, już duch młody ku niemu się zwraca, i jest to pierwszy, zasadniczy warunek dla uczciwie pędzonego życia, cel taki przed oczyma mieć. Wywoływać to — utwierdzać, dostojnymi wzorami cnoty, poświęcenia młodą duszę podnosić — jest niezmiernie ważnym zadaniem wychowania. Należy też w trakcie tego wychowania odzywać się stale do wspaniałomyślnych uczuć dziecka: budzić litość jego nad cierpiącym, przemawiać do współczucia jego wobec niedoli, zwłaszcza niezasłużonej, a zarazem tak zwane heroiczne cnoty w nim budzić — nie powodzenie, ale szlachetne, do wyższych celów dążące pragnienia kazać mu uwielbiać i przed nimi głowę z uszanowaniem schylać, zwycięstwa cnoty pragnąć i ją tylko uważać za godną laurowego wieńca — to jest dobre nagięcie młodej istocie dać. A jeżeli się to złączy z dobrze wyrobionym uczuciem sprawiedliwości, jeżeli to się oprze na miłości prawdy, podniesie nad samolubstwo i miłość zysku, korzyści własnej, można powieścić, że podwaliny dobre są już charakterowi dziecka dane.

Przecież uwaga pedagogiczna powinna pilnie czuwać, aby uczynki odpowiadały ideałowi cnoty, postawionemu przed młodym umysłem — aby rezultaty dobrych zamiarów dziecka szły z zamiarami temi w parze i tylko wtedy za dobre mu je uznać, gdy się tak stanie. Jeżeli, dziecko nie dotrzyma obietnicy danej sobie i rodzicom, zwłaszcza w kierunku takim, gdzie jego miłość własna, jego samolubstwo w grę wchodziło, trzeba mu z tego zarzut poważnie zrobić. Jeżeli na przykład, pieniądź, na cel dobroczynny przez niego samego przeznaczony, pójdzie na zabawkę, na przysmak, należy mu to surowo wymówić i przedstawić jako zachwianie się w dobrem, niedotrzymanie kroku cnoty pod pokusą łakomstwa, zadowolenia niskiego instynktu. Dobre zamiary mieć, a złe czynić — jest gorzej, niżby prosto złym skłonnościom ulegać, bo to oznacza słabość woli i ten charakter lichy, na który człowiek sam nic liczyć nie może. Wychowanie powinno z wielką usilnością nad taki stan ducha dziecko podnosić. Nie pozwalać mu na tworzenie zamiarów dobrych, w których musi przechodzić przez

walkę pewną, byłoby to kępować młodego ducha w pierwszych jego popędach szlachetnych — wiążąc skrzydła ptakowi, którego przeznaczeniem jest unosić się na nich w przestrzeni. Ale trzeba czuwać nad nim opiekuńczo, pomagać mu nieznacznie; w chwili, która może grozić zachwianiem siły młodego ducha wzmódz: na przykład szlachetny wzór wytrwania w dobrem przed oczymu postawić: czy go w żywym życiu ukazać, czy go z historią wziąć, czy w idealnym jakim obrazie — w książce znaleźć i do czytania ją wtedy dziecku dać. Wszak chodzić tak się ono uczy: chwije się na nóżkach słabych i trzeba je z początku na pasku prowadzić, potem mu rękę do pomocy podawać, aż do chwili, gdy o swojej sile ustać, o swojej sile chodzić się nauczy.

Tak trzeba czynić z dzieckiem, uważnie pilnując, oile je emancypować można, bo zbyt długa i troskliwa opieka — przedłużona nad miarę przewodnictwo niedołęgów wytwarza. Ale złe jest również stać zupełnie na stronie i przypatrywać się tylko usiłowaniu, przez młodą istotę czynionym z zamiarem, jakoby studiowania dziecka, bo wychowywać znaczy kształcić — do dobrego usposabiać, a nie konstatować fakta, i niedobrze to oddziaływa, gdy dziecko zbyt często upadkowi podlega, bo się do tego przyzwyczaja, traci szlachetną ambycją, nietylko wobec ludzi, ale wobec samego siebie i ze złem się zżywa, co jest już rzeczą najgorszą: jest z jednej strony przystaniem na złe, zgodą z nim spokojną, z drugiej niewyknięciem.

Bolesć lub radość tych, których dziecko kocha, ma wobec jego czynów ujemnych lub dodatnich znaczenie wielkie; trzeba przecież, aby to działanie na dziecko umiało być poważne i niezbyt drobniagowe, bo wagę swoją i znaczenie utraci. Czasem drobnostka może wykazać w dziecku brak serca, kochanie samego siebie, instynktu drapieżnie, zaborcze; gdy czasem przestępstwo napozór większe wypływa z nierozwagi, z żywości młodej — z nieleczenia skutków. To należy brać pod rozwagę — to trzeba przeważać na szali myśli uważnej, która wychowaniem kieruje. Tak zwane poddawanie myśli, ma wielką wagę w wychowaniu i jest to nawet jeden z najważniejszych czynników edukacyjnych. Można wychowankowi myśli piękną i szlachetną podsunąć przez wiarę w niego — można go zrobić złym przez podejrzenie go o złe, doszukiwanie się złych impulsów w czynach, które są prosto skutkiem młodej nierozwagi, ulegnięciem pokusie do złego przez słabość, lub niepojmowanie następstw, jakie to za sobą prowadzi.

Lepiej jest czasem udać, że się najgorszej pobudki jakiegoś przestępstwa nie widzi, niż wykazując ją wychowankowi, zbyt go upokorzyć. Najsilniejsze właśnie charaktery, jak to Spencer konstatuje, cynicznie się przez to nastroją: Zrobiłem, bo zrobiłem — odpowiada wtedy hardo duch wyniosły i jest to postawienie nogi na scieżce, bardzo niebezpiecznie wiodącej do zatarcia w sobie wstydu moralnego. Czasem należy też wychowawcy niby czegoś nie dopatrzeć, aby takiego dumnego odporu niewywołać, i czuwać w tajemnicy nad pewną stroną skłonności, pewną stroną charakteru wychowanka. Wywołanie w istocie młodej sympatji szlachetnych ma w wychowaniu znaczenie wielkie. Niech pokocha dobrze, a nie dotknie się tego co złe, ale przede wszystkim i nadewszystko niech kocha, niech serce jego nie pozostanie głazem zimnym. Z uszanowania praw bliźniego naszego i z miłości dlań uczuwanej, tworzy się to, co nazywamy moralnością. Niema dla niej dotąd i nigdy nie będzie podstaw innych, rozwinięcie też w dziecku uczucia przychylności dla bliźnich — to podstawa pod wszystkie czyny dobre, to zwalczanie tego egoizmu, który filozoficznie nazywa się instynktem zachowawczym. Poświęcenie się dla bliźniego swego, dla idei wielkiej, która temu bliźniemu, bo ludzkości, dobro niesie, to podniesienie się duchem nad ów instynkt właśnie — tryumf człowieka moralny nad jego naturą fizyczną. Miłość dla ludzi, obudzona w dziecku — to już moralność najwyższa, która też zawiera się całokształtem swoim w przykazaniu „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego“... Pewne serca szlachetne,

1) Odpowiedź na list p. Maryi B.

pewne serca wielkie kochają bliźniego tego ponad siebie, i wtedy-to zaczyna się heroizm, wtedy cnota miłości staje się bohaterską. Wszelka miłość idei tu się włącza, bo idea jest to forma dla jakiegos dobra, dla jakiegos postępu ludzkości — dla jakiegos nabytku, który dostaje człowiek zbiorowy: naród, ludzkość.

Zdawać się tu może rzeczą zbyteczną, aby w wychowaniu, które ma za cel główny umoralnienie dziecka, mówić o uprawie jego wyobraźni; a jednak jest to jedna z bardzo ważnych stron tego wychowania właśnie.—Wyobrażam sobie, bo czuję, bo myślę... i tą siłą myśli przerzucam się w stany życia rozmaite, otwieram sobie dziedziny ideału... Wyobraźnia oddziałuje w sposób bardzo ważny na kierunek naszej myśli więc na kierunek naszych pragnień, pożądań — na kierunek życia. Kto umie odmalować sobie życia tego obraz podniosłe piękny, kto mu da w wyobraźni swojej szranki szersze, niż „od pieca do komina“ — kto je odniesie nad popoliczność codzienną, nad używanie go przez strony jego fizyczne, ten tylko może czuć, myśleć, żyć podniosłe. Więc wychowanie powinno pod karą zawodu i niepowodzenia kształcić w dziecku tę siłę, którą Francuz z bardzo głęboką logicznością nazywa: *La folle du logis*... Niech ta siła jego skrzydłata i najmniej ze wszystkich posłuszna, umie brać lot ku stronom ideałów, etycznie pięknych — niech się nie zbrudzi zamłodu przez życia widoki brudne, niech się nie tarza wśród obrazów namiętności niskich: niech ciąży ku pięknu, które jest razem dobrem, a ułatwi się ogromnie człowiekowi zadanie pozostania przez życie całe uczciwym. Modlimy się do Boga w pacierzu: — Nie wódz nas na pokuszenie... — otóż wyobraźnia nie podporządkowana pod uznanie i zamiłowanie piękna czystego — wyobraźnia zepsuta, jest jedną z najpotężniejszych sił na pokuszenie owe wiodących.

Matka powinna bardzo pamiętać, aby dziecko jej nie spotykało się od dzieciństwa, aż do tego wieku, który dochodzi już dojrzałości, więc ustalenia pojęć i wyobrażeń naszych o życiu, nie spotykało się z obrazami zepsucia tak w życiu, jak w książce — w książce, która ma w tym kierunku znaczenie czasem większe, niż żywe życia obrazy, bo tu artysta pisarza wszystkie strony rzeczy wstrętne, brzydkie, maskuje i daje im oświetlenie sztucznie kolorowane: wystawia, je nie tak, jakimi są w życiu, ale jakimi on chce je tworzyć, malowane przez pryzmat artyzmu, wziętego na posługę barwienia obydy.

Miłość macierzyńska, jak wszelka miłość prawdziwa, jest pilną, jest czujną, jest o dziecko swoje troskliwą, skoro tylko wie, gdzie niebezpieczeństwo dla niego się znajduje. Otóż wychowaniu trzeba najpierw i przede wszystkim przykładów życia dobrych, rozwoju uczuć szlachetnych a potem skierowania wyobraźni ku temu pięknu czystemu, któreby szło przed życiem, torując drogę górną dla jego pragnień i porywów. Ideał życia wyższy tylko w takich warunkach może się przed umysłem młodym postawić i dać się pokochać — miłosnej tęsknoty siłą pociągać za sobą tam, gdzie się uczciwie pełni obowiązek, gdzie człowiek przeznaczony swemu odpowiada.

Marya Ilnicka.

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

Wizyta Krzysia w Burakówku najnie spodzianej zesłała się z tak fatalnymi wieściami,

Tyle miał wesołości, ile jej zaznał przy powitanu z Franią i dziećmi. Rozmowa z Fignerem w kantorze zwarzyła mu cały dobry humor i zepsuła odrazu uciechę. Wprawdzie katastrofa, zagrażająca tylko interesom brata, materyalnie nie dotyczyła go wcale, jednak sprawiła na nim jakieś przygnębiające wrażenie.

Złe przeczucia i niepewność wytworzonej sytuacji niepokoiły go bardzo.

Żeby przynajmniej Karol sam był na miejscu, byłby ogarnął rozmiary klęski wiszącej w powietrzu, możeby coś zaradził, zdecydował, zażegnał burzę; bez niego złe wydawało się jeszcze gorszem.

Smutna i stroskana fizio nomia Pęczyńskiego nie dodawała mu również otuchy.

Wyszli z sobą w pole już o zmroku i idąc miedziami przez łąki, rozmawiali ciągle o ewentualnych skutkach takiego nagłego przewrotu. Wobec grozy położenia w sercu Krzysia zgłuchnął odrazu żal do brata, tajony przez czas tak długi.

Zapomniał o wszelkich urazach, jakie miał do niego, i byłby teraz wszystko poświęcił, aby go ratować i oszczędzić mu przewidywanych zmartwień.

— Pan myślisz, panie Pęczyński — mówił do swego towarzysza — że Karol na tém dużo straci?..

— Ba!.. różnica ogromna. Żebyż to jeden Burakówek na tém ucierpiał!.. Klęska ogólna.

— Ależ to zupełnie, jak na giełdzie.

— Bo też to i giełda. Po co to było mieszać się w nie swoje rzeczy!.. A jakżeż tam u nas?.. roboty dużo?..

— O, u nas doskonale; obstałunków mamy mnóstwo, tylko...
Zawahał się, nie kończąc.

— Tylko ładu niema? — dokończył za niego Pęczyński półgłosem — prawda?..

— No, pan wiesz przecie — odparł z wyrazem szczeroci po chwilowem wahaniu się Krzys — boś pan niedawno wyszedł z fabryki. Mogłoby być lepiej, ale Karol nie pozwolił sobie żadnej uwagi; za dużo ma sam na głowie i coraz więcej jeszcze nabiera. Dawniej przynajmniej posiadał kilka godzin w kantorze, można się było z nim rozmówić, ale w ostatnich czasach wpadał tylko jak po ogień, ledwie się pokazał i już zniknął. Pan wie, jak to on, szast-prast!.. niecierpliwy się, śpieszy, dziesięć rzeczy naraz robi, a żadnej nie skończy. Żeby mi więcej ufa!.. żebyśmy z sobą byli trochę inaczej, to ja-bym go w jednym zastąpił, ale on chce wszystko trzymać sam w garści, — cóż poradzić!..

Zwiesił głowę i machylnie zrywał żdźbła zielonego zboża po drodze.

Obeszli tak całe pole, rozmawiając; rozmowa im się nie szkowała, raz jeden, to drugi przestawał mówić, milknął i szedł zadumany.

— To ładna cukrownia, ten Burakówek, — po dłuższej przerwie zaczął znowu Krzys.

Pęczyński ręką machnął.

— Na oko to i ładna, ale i przepłacona; urządzenie kosztowne, a ciągle się coś psuje. Co to warto?!

Zawrócili i zdążyli z powrotem ku fabryce.

— Ten Figner to jakieś poczciwe szwabisko, prawda?..

Stary uśmiechnął się, że nie słyszy zapytania.

— Jak pan myśli, panie Pęczyński?..

Kassyer głową pokiwał i odchrząknął.

— Kto go tam wie! — odparł zmuszony do odpowiedzi, — nie mogłem się go do badać, za krótko się znamy.

— Zdaje się być przychylny...

— Może i jest.

Krzysia uderzył ten wymijający lakonizm.

— Bo pan tak jakoś... — zaczął — jakby go pan nie bardzo lubił.

— Cóż go mam lubić! ani mi brat, ani swat.

— Ja panu także ani brat, ani swat, a pan mnie przecież lubi, — wtrącił pierwszy raz z uśmiechem — prawda?..

Pęczyński westchnął.

— Cóż to za porównanie! pana Krzysztofa znam od dziecka.

— Ale mnie pan zawsze jednako lubi, powiedz pan? — nalegał, wyciągając do niego rękę, jakby mu potrzeba było tego zapewnienia.

Stary kassyer wziął w obie dłonie jego rękę i w milczeniu uściśnął ją serdecznie.

— Bo ja panu powiem, że ja was wszystkich kocham, jakbyście do naszej rodziny należeli.

— Chodźmy trochę prędzej, panie Krzysztofie, bo widzę, że dziewczęta stolik wyniosły przed dom i lampę zapaliły; pewnie z herbatą czekają, — przerwał mu Pęczyński, jakby umyślnie chciał nadać inny zwrot rozmowie, obawiając się dalszego ciągu tych wynurzeń szczerzego chłopca.

Na pogodnym niebie księżyc wyglądał jak ogromna pieczętka z opłatka wykrojona; w oknach fabryki i zabudowań mieszkalnych zabłysnęły tu i ówdzie światła pozapalane. W powietrzu była senna cisza wieczoru, od traktu dolatywał zgłuszony turkot wozu, a zdaleka ode wsi poszczekiwanie kundłów słychać było.

W ogródku za sztachetami zastali zastawiony stolik, przykryty białą serwetą w różowy deseń, na stoliku, stała lampa z zieloną umbrellką, na ławeczce pod bzami syczał samowar, a przez otwarte okna widać było krzątające się dziewczęta, zajęte przygotowaniem do kolacji, którą chciano uraczyć gościa.

Krzys wymówił się od zaproszenia do dyrektora na herbatę; chciał ten wieczór spędzić pod dachem starych znajomych i przyjaciół.

Nad ranem miał się już wybrać z powrotem.

Pęczyński stanął przy sztachetach i zawołał:

— Stara!..

Z pokoiku odpowiedział mu głos Frani:

— Co, tatku?..

— A no, jesteśmy; może nas czem pożywisz.

— Proszę, proszę; kurczęta już mi się zrumieniły, niech panowie pozwolą. Wszystko gotowe.

Mówiąc to, stanęła w otwartym oknie; w jednej ręce trzymała świeży bochenek chleba, w drugiej nóż, którym właśnie krajała kromki do koszyka.

Twarzyczka jej żywymi rumieńcami ukraszona wyglądała, jak rozkwitła róża wśród zielonych gałęzi, które się ku oknu nachylały; w tej skromnej czarnej sukience, przy fartuszkach perkalowym z ramiączkami miała minę zaaferowanej trochę gosposi.

Zpoza niej ciekawie wyscibiała główkę Tocia, karbując drewnianą łyżką świeże masło w masielniczce, a przy stoliku widać było Manię z wielką powagą oprawiającą miłową świecę w platerowany lichtarz.

Cały dom był w poruszeniu, aby godnie przyjąć niespodziewanego gościa.

W kuchence na różnie piekły się kurczęta, służąca przyprawiała sałatę; w dużej wazie porcelanowej stało przygotowane kwaśne mleko, a świeża woń młodych kartofli rozchodziła się z kopiaстого półmiska.

Wszystkie wiejskie przysmaki o tej porze miały złożyć się na wystawną kolację w ubogim domku kassyera.

Krzysia na widok Frani, wyglądającej jak obrazek w oprawie otwartego okna, odbiegły nagle fraszobliwe myśli o cukrowni; wydawała mu się tak ładną w tej swojej gospodarskiej roli, tak jakoś wdzięczną na tem tle, że mu się serce przez oczy do niej wyrwało.

Jedną ręką uchwycił się gałęzi akacyi, drugą sztachet i już miał wspiąć się w górę, aby w ten niezwykły sposób dostać się prędzej do ogródka, zamiast obchodzić fabrykę i szukać wejścia główną bramą od dziedzińca, gdy go Pęczyński powstrzymał zapytaniem:

— A cóż pan robisz, panie Krzysztofie?..

Chłopak zatrzymał się w swoich gymnastycznych zamiarach.

— Myślisz pan, że się nie przedostanę? — spytał — ohol!.. ja już nie takie baryery przesadzałem.

— Ależ wierzę, tylko nie chcę, abys mi pan złodziejom drogę pokazywał.

— Nikt nie zobaczy, nie bój się pan!

Mówiąc to, zwinnie, lekko, jak akrobata, wspiął się na drzewo, postawił nogi na ogrodzeniu i jednym skokiem znalazł się po drugiej stro-

nie sztachet, otrzępując ze śmiechem ręce po tym popisie zręczności i siły.

— A co?... widziała pani?... — zagadnął ze śmiechem Franja.

— O, wielka sztuka! — odpowiedziała mu z umyślnie pogardliwą minką dziewczyna — to lada kot potrafi.

— Ba, kot!.. ale kot skacze na cztery nogi, a ja tylko na dwie, — odciął się w tej chwili.

— Kotek dostanie za to mleczka, — wtrąciła pieszczotliwie Toca, wdzięcząc się do niego przez okno.

— O, ładny mi kotek! — mruknęła starsza siostra, wzruszając ramionami z pozornym zgorszeniem.

— A cóż takiego?.

— Kocisko!..

— Tak pani mówi!..

Poskoczył ku niej do okna, ale dziewczyna umknęła szybko i znikła w głębi domku, napełnionego wesołym chychotem dzieci.

Dawne figle i przekomarzenia przypomniały się im w tej chwili.

Pęczyński stał jeszcze za sztachetami i przysłuchiwał się tej rozmowie młodych pustaków, ale twarz mu się nie rozchmurzała; on jeden pamiętał za nich oboje o powodach, które go do Burakówka tak nagle przerzuciły, pamiętał o pogroźkach swego młodego pryncypała i o przyrzeczeniu, które mu dał co do zerwania stosunku Krzysia z ich domem.

Ojcowskiemu oku nie ušla od pierwszej chwili zmiana, jaka z przybyciem młodego gościa zaszła z Franią; od kilku miesięcy nie widział jej tak ożywioną i szczęśliwą, tak wesołą i uśmiechniętą, jakby dziewczynie z temi rumieńcami zdrowia i duszy przybyło.

A jednak.. jednak to szczęście ukochanego dziecka zamiast radość mu sprawić, zafrasowało go jeszcze bardziej.

Swobodny i żywy ton rozmowy jej z Krzysiem i śmiechy dzieci podrażniły starego; niemal surowo, podniesionym głosem rzucił im napomnienie w słowach:

— Ej dziewczęta, dziewczęta!.. co tam znowu za zbytki!..

Na szczęście, Franja nie słyszała już tego; była rozpodgonzona tą krótką chwilą zapomnienia i serce jej, jak ptaszę z ciemnej klatki wypuszczone na słońce, drgało tak jakoś radośnie, tak się poddawało bezwiednie wrażeniu lubej wesołości, tak mu dobrze, lekko, swobodnie czegoś było, jakby nie na niem nie ciążyło przez kilka miesięcy, jakby nie miało zabronionem nawet marzyć o szczęściu i miłości.

Zanim podano do herbaty, Pęczyński ze swą markotną miną wszedł do ogródka i próbował bawić swojego niebezpiecznego gościa, który mu psuł bezwiednie wszystkie szyki i w kłopotliwej sytuacji stawał go swoją wizytą.

— Ale pan jesteście okropnie czegoś chmurny, panie Pęczyński, — zagadnął go Krzys, — tak pana te depeze zgnębiły?... Wie pan, ja w pierwszej chwili czułem się także przybitym, ale ja, prawdę powiedziawszy, nie znam się na tych spekulacjach cukrowych, to nie mój fach. Mnie się zdaje, że jak tylko Karol wróci, to wszystko naprawi; niepotrzebnie się przed czasem martwić. Zobaczysz pan, że dobrze będzie!..

Stary westchnął.

— Dałby Bóg!

— Przecież Figner sam mówił, że Burakówek należy do rzędu wyjątkowych cukrowni, — ciągnął dalej Krzys — w zeszłym roku dał tyle dywidendy. Pęczyński czuprynę potarł.

— Otóż to właśnie!.. ta dywidenda mi się podejrzana wydawała zawsze.

— Dlaczego?

— Hm, widzi pan, panie Krzysztobie, jakoś coś niejasnego jest w tem wszystkim.

Krzys spojrział na niego pytająco.

— Myślisz pan, że szwindel? — spytał dobrodusznie.

— Tego nie mówię, ale to mnie zastanowiło, że dawni współnicy tak gwałtownie za swojej administracji forsowali zyski. Przeglądałem księgi, potrzebując niektórych szczegółów, no i..

— I co?... mój panie, i co takiego?

— I zobaczyłem, że tam wyraźnie kapitałem rezerwowym powiększono procenta.

— A to na co?..

— Ha, otóż to właśnie sęk!.. jedno mi tylko przypuszczenie przychodzi do głowy...

Zawahał się, czy ma dalej mówić.

— Czemuż pan nie kończysz?... przecież ja nie obcy, tylko swój, — wtrącił Krzys, spostrzegłszy wahanie się starego officyalisty.

— Bo tego mi mówić nie wypada; za krótko tu siedzę, abym się w kontrolera mógł bawić.

— Ja przecież nikomu tego nie powtórzę, jeżeli pan zechcesz.

— Wiem o tem, ale zawsze... co mi tam mieszać się w nie swoje rzeczy!.. jednak skoro pan dyrektor przyjedzie, powinienny zwrócić lepiej uwagę na bilanse lat poprzednich.

— To trzeba, żebyś mu pan o tem powiedział przez samą życzliwość.

— Pewnie, że trzeba; ale może mi się tylko tak wydaje, że Pindter umyślnie podniósł dywidendę, aby reklamę robić, a spekulował nawyżkę kursu i kiedy wyrubował akcje jak najwyżej, wtedy je sprzedał; ot, co mi po głowie chodzi!..

Krzys usta otworzył i w ręce klasnął.

— Bój się pan Bogal!.. a tożby było proste oszustwo!

Pęczyński obejrzał się i dał mu znak, aby się miał na ostrożności.

— Ja nie wiem, niczego nie twierdzą stanowczo — rzekł ciszej — ale w takiej krytycznej chwili to mi mimowoli takie podejrzenia przychodzą na myśl. Mówię to panu w zaufaniu, co mi na sercu ciężo oddawna, gdy w siebie tu wszystkiemu zblizka przypatrzyłem.

Chodząc tam i napowrót po ogródku, rozmawiali w ten sposób glosem przyciszonym.

Krzys znowu spowaźniał pod wrażeniem tej rozmowy i przestał nawet zerkać w okno, upatrując w niem Frani.

Dopiero głos jej ocknął go z przykrych myśli, które mu słowa Pęczyńskiego napędziły.

— Proszę panów do stołu — zawołała — prześtańcie już raz radić o wielkich sprawach, a weźcie się do młodych kartofli.

Mówiła to wesoło z uśmiechem, nie domyślając się wcale ważności tej poufnej rozmowy, którą jej ojciec prowadził z panem Krzysztobem.

Nie znała się na interessach i nie obchodziły jej wcale.

Zajęta była obowiązkami gospodyni i chciała się w tej roli popisać wyjątkowo.

Krzys dopiero teraz przypomniał sobie, że od południa nie miał nic w ustach; młody apetyt obudził się w nim na widok zastawionych przysmaków, a chociaż wrażenia dzisiejszego dnia nie usposobiły go do jedzenia, zasiadł do stołu i nie dał się długo zapraszać uprzejmej gospodyni i i dzieciom, usługującym mu na wyścigi.

W dwudziestu kilku latach serce ma swoje, a żołądek swoje prawa.

Rozmowa przy stole toczyła się dosyć leniwo, podtrzymywały ją głównie Toca i Mania, zarzucając Krzysia pytaniami i opowiadając mu na przemian o swoich spostrzeżeniach w Burakówku, który wydawał się imniebem na ziemi.

Franja kilka razy zwracała się do ojca z zapytaniem:

— Czy tatko ma migrenę?.. dlaczego tatko nie nie je?..

Uspakajał ją zapewnieniem, że się zupełnie zdrow czuje i niczego mu nie brak, tylko roboty miał dużo w kantorze i jeszcze więcej czeka go jutro po wyjeździe Fignera.

— To pan Figner wyjeżdża?..

— Wyjeżdża razem ze mną — wyręczył Pęczyńskiego Krzys w odpowiedzi.

Spojrzała na niego, jakby z wyrzutem.

— Tak panu śpieszno? — szepnęła, nachylając się niby po serwetkę, która jej z kolan na ziemię spadła.

Pospieszyl, aby ją podnieść i przypadkowo ręce ich spotkały się w tej samej chwili, co i oczy.

Przy tem dotknięciu i przy tem spojrzeniu pokraśniali oboje, jakby co złego zrobili.

Dzieciom na wiadomość o wyjeździe ich faworyta twarzyczki się przeciągnęły.

— Dopiero pan przyjechał i już pan znowu jedzie — mówiły zasmucone — e!.. co to warte!

Patrzyły na niego z zadęsaną minką, ale i z niedowierzaniem; miały nadzieję, że zostanie, i że je tylko z umysłu straszysz tym wyjazdem.

— Bo-by pan nie jechał jutro! — przymilała się do niego Mania, mrugając swymi figlarnymi oczkami z poza lampy, która ich przedzielała.

— Cóż robić, kiedy trzeba!

Powiedział to z westchnieniem i takim szczerym smutkiem, że się wszystkim udzieliło to uczucie.

Zamilkli i siedzieli z spuszczanemi głowami; odbiegła ich nagle cała wesołość i ochota do rozmowy.

Milczenie przerwała dopiero służąca, która niby-to szeptem, ale tak głośno, że ją wszyscy słyszeć mogli, zasłaniając sobie fartuchem usta, oznajmiła Pęczyńskiemu, że pan dyrektor przysyła prosić, aby pan zaraz po kolacyi przyszedł się z nim rozmówić.

Pęczyński wypił resztę herbaty, otarł usta i spojrział na zegarek.

— Już po dziewiątej — rzekł — my tu na wsi teraz z kurami spać się kładziemy. Panu-by też trzeba wycpać, bo jutro skoro świt, należy być na nogach, aby do pociągu zdążyć — dodał, zwracając się do Krzysia, jakby mu chciał dać do poznania, iż pora się pożegnać.

Wstali od stołu; Pęczyński czapkę nałożył na głowę, i przyrzekłszy wrócić za chwilę, poszedł do Fignera. Dzieci, poszeptawszy coś z sobą, zabrały się do pokoju.

W ogródku pozostali tylko Krzys i Franja.

To przypadkowe sam-na-sam, zdawało się szczególnie kłopotać dziewczynę; czuła, że wypadło do niego przemówić, a słów jej brakło. Nie wiedziała, od czego zacząć; urwała kiść białego obu i skubała go usteczkami w roztargnieniu.

— Czujecie pan, jak te bzy pachną? — odezwała się wreszcie, aby cokolwiek powiedzieć.

— A pachną — mruknął, jakby od niechcienia, a po chwili z westchnieniem dodał głośnie:

— Wie pani, że dalibóg, taki bez to szczęśliwszy od człowieka!..

Roześmiała się mimowoli i zdziwiona zapytała:

— Dlaczegoż to?

— Bo mu tu spokojnie stać pozwalają i patrzeć w pani okna.

Powiedział to tak naturalnie, bez affektacyi, a z jakimś odcieniem żalu i skargi mimowolnej, że aż jej serce żywiej zabiło. Pomyślała sobie, że niezręcznie nawiązała rozmowę i odeszła kilka kroków ku sztachetom, aby ukryć zmieszanie, wywołane jego słowami.

Znowu milczeli dłuższą chwilę i znowu jakoś dziwnie było obojgu w tem osamotnieniu, które jak w pułapkę złowiło dwa lgnące ku sobie serca.

— Co pani tam tak patrzy? — przemówił z kolei on, podchodząc bliżej ku dziewczynie, stojącej z główką opartą o sztachety.

Ocknęła się nagle i odrzekła:

— Widzi pan, jak słownie księżyc świeci!.. całe pola, jak srebrem obsypane.

— E, co mi księżyc! — ofuknął się prawie z dziecięcym jakimś dąsem Krzys — księżyc będzie miał jutro i pojutrze, i cały tydzień, a panią Bóg wie, kiedy znowu zobaczę.

Oparł się obok niej taksamo o sztachety i mówił dalej:

— Żeby pani wiedziała, jak mi się odjeżdżać nie chce!.. tak mi tu dobrze z wami, a tam tak do was tęskno. Wieczorami, to sobie teraz kąta znaleźć nie mogę, odkądście wyjechali. A najbardziej to mi smutno bez pani...; słowo daję, jak zgubiony pies błąkam się koło fabryki. Przeprowadziłem się teraz do waszego dawnego mieszkania, wie pani? bo mi tam jakoś nie tak samotno... zawsze mi się zdaje, że słyszę panią w drugim pokoju, i to mi dobrze robi.

Wyciągnął do niej rękę i pocziwie, trochę tylko drżącym od wzruszenia głosem, dodał:

— Ja wszystko wiem, wszystko; pani myśli, że Krzys ślepy i głuchy, gdzie tam!.. Krzys wszystko widzi i wszystkiego się domyśla. Ja wiem, dlaczego was aż tutaj wysłali, ale to nie, ja to przetrzymam. Niech mi pani tylko przyrze-

knie, że ile razy tu przyjadę, zastanę panię zawsze taką samą... zawsze taką dobrą dla mnie, jak dawniej, a jak Boga kocham, ja się nie zmienię, choćby tam Karol i cała rodzina... i cały świat...

Nie pozwoliła mu dokończyć, odwróciła do niego twarz dziwnie zmienioną, pomieszaną. Oblaną łzami, które jak perły błyszczały w księżycowym blasku, co ją całą oblewał i jakimś błagalnym a przestraszonym głosem przerwała mu:

— Panie Krzysztofie, panie Krzysztofie, niech pan tak do mnie mówi, ja nie powinnam tego słuchać.

Pochylił ją za rękę i przytrzymał przy sobie:

— Właśnie... właśnie, że mówić będę, bo mnie już to w gardle stoi, o tul... oddawna. Już mi się nie chce milczeć dłużej; niech sobie Karol pilnuje swoich interesów, swojej cukrowni swoich baronów, ale niech się nie miesza do tego, w kim ja się kocham i z kim się ożenię. Panno Franciszko, panno Franio... moja droga pani, niby to pani oddawna nie wie, co ja czuję i co ja myślę,—a zna mnie pani oddawna i powinna wiedzieć, że ze mną na udry nikt nie wygra sprawy. Choćby oni nas na dwa bieguny wysłali, to ja i tak do pani trafię!..

Przycisnął sobie jej rękę do serca i z coraz większym przejęciem mówił:

— Tylko niechaj ja wiem, że się pani dla mnie nie zmieni, że choćby nie wiem co, to ja zawsze mogę liczyć na panią...

Dziewczyna drżała, jak liść, siły ją opuszczały, zachwiała się i mimowoli główką dotknęła jego ramienia, ale w tejsamej chwili ocknęła się, szarpnęła rękę, wybuchnęła tłumionym płaczem, umknęła szybko ku drzwiom, pozostawiając go bez odpowiedzi.

Gałązka białego bzu pozostała mu w palcach, jako zakładnik uczucia, które nie śmiało się odezwać przez zaciśnięte usta dziewczyny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

(Ciąg dalszy).

O świecie opuściliśmy Tyberyadę i, posuwając się brzegiem Genezaretu w stronę Południa, mieliśmy przed oczyma okolicę niezmiernie bujnej roślinności i gęsto zaludnioną, ukazującą się nam jeszcze w różowym świetle jutrzeńki. Kobiety arabskie czesały długie, bujne, jedwabiste włosy swoje na płaskich dachach chat i pierwszym miejscem odpoczynku było starożytne Emaus, choć nie nie przypomina tu przeszłości. Gorące źródła wody pobudziły władze tureckie do urządzenia tu kąpeli i przed okiem podróżnika wznosi się tylko samotna kopuła, otoczona ruinami wspaniałych, jak to ze szczątków tych wznosić trzeba, łaźni rzymskich czy hebrajskich. Obszerny basen napelnia woda, gorąca na sto stopni termometru Farenheita, ale do koła brud, który budzi wstręt Europejczyka. Biblijne Kaphernaum odnajduje podróżnik, albo sądzi, że odnalazł, w ruinach, zwanych Tell Hum. Leżą one na północnym brzegu jeziora, o pięć kilometrów drogi od Jordanu, i dziś zwaliska te służą okolicznej ludności za kamieniołomy, z których wydarte głazy obracane są na zabudowania wiosek okolicznych. Widok to bardzo smutny patrzeć, jak przeszłość z wielkimi, świętymi wspomnienia karmi życie nędznej teraźniejszości. To też podróżnik staje tu smętnie zadumany i przypominają mu się słowa wołającego Ewangelisty: „Kaphernaum! aż do nieba się wynosisz, aż do piekła zstąpisz!..“

Ruiny są głównie z czarnego bazaltu i ztąd widok ich przedstawia niezmiernie posępny i razem uroczysty widok, a wśród tych złomów ponurego wyglądu podnoszą się, jak widziadło z Apo-

kalipsis, ruiny z białego wapienia: szerokie podstawy złamanych kolumn, których bogato rzeźbione kapitele walają się wśród prawdziwego lasu przeogromnych ostów i cierni, pokrzyw, chwastów olbrzymich, nieznanych naszej części świata, pnących się roślin, które czolgają się i opasują stracone o ziemie głazy, jak węże potworne. Starożytnicy utrzymują, że są to szczątki synagogi, zbudowanej, według ewangelii Ś-go Łukasza, przez rotmistrza rzymskiego, którego sługę Chrystus uzdrowił. W pobliżu znajdują się inne jeszcze ruiny, chrześcijańskiego już kościoła — wielkiej jakiejś bazyliki, co wszystko razem tworzy przeogromne rumowisko, wśród którego dziki zwierzę legowiska sobie szuka, i nierazdo się zdarza, że zwiedzający wystrasza go ztamtąd, i widzi jaszczurki uciekające przed nim po głazach. Wzrok podróżnika z trudnością odrywa się od tego widoku, którego wspaniałość jest tem większą, że mu się odkrywa wśród płaszczyny niezmiernie płodnej i bogato roślinnością strojnej, rozszerzającej się po obu stronach ruiny, a w głębi rysują się na błękitnie nieba ostre kontury gór, mających poza sobą jezioro.

Kilkogodzinna droga w kierunku powrotnym ku Nazaretowi, doprowadziła nas do Kany, którą Ewangelia oznacza jako miejsce pierwszego cudu Chrystusa, uczynionego na prośby Matki Boskiej, aby przy weselu ubogich oblubieńców wodę w wino przemienił. Obecnie Kana przedstawia ładne miasteczko, przeważnie tureckie, wdzięcznie zbudowane wśród żywej doliny, otoczonej wzgórkami, zarosłymi przez dęby i drzewa oliwne, granatowe, wśród których strzelają wysmukłe palmy, a dołem między figami wytryska źródło, u którego widzieć można zawsze grono kobiet piorących chusty, rano zaś i wieczorem pasterzy, pojących stada owiec i bydła. Miejscowi zakonnicy pokazują tu rodzinny dom Ś-go Bartłomieja apostoła i raiu jakoby domu, który był miejscem cudu przemienienia wody w wino. Cud jest w wierne czuwającym tu uczuciu serca ludzkiego, a dodać trzeba, że okolice Nazaretu, odległe od Kany o trzy godziny drogi konnej, zamieszkuje niemal wyłącznie ludność chrześcijańska, wierząca bardzo silnie i niepragnąca nic dochodzić, nie sprawdzać. Łańcuch wzgórz, zarosłych odwiecznymi dąbrowami, o ldiela prowincya Nazaretu i pustynią góry Tabor od płaszczyny Kaifa. Łańcuch ów, wśród którego dźwiga się wspaniałe góra Karmel, biegnie od strumienia Jordanu, aż po wybrzeże morskie, malując się na jasnym tle nieba ciemno-zieloną barwą bogatej roślinności, która zarasta stoki spuszczające się łagodnie ku równinie Kaify. Tylko szczyt Karmelu piętrzy się wspaniale i zdaje się przyzywać ku sobie; przecież ludność, za niebezpieczną tu podgórze, dziką jest i nieprzychylną obcemu. Zamieszkuje chaty niskie i bez okien; słupami dla górnego terrasu, który dach tworzy, są drzewa, a gałęzie ich dają mieszkańcom cień i zasłonę przed deszczem — dają im jakiś wygląd fantastyczny i wdzięku pełny.

Miasto Kaifa zbudowane jest już u podnóża góry na wybrzeżu morskiem, wśród równiny białego piasku, połyskującego zdaleka jako srebro, a kopuły i wieże kościołów, minarety meczetów, dają mu, jak się to powtarza u wszystkich miast wschodnich, widzianych w perspektywie oddalenia, malowniczość powabnie wesołą. Miasto to tworzy jeden koniec cięciwy łuku, którego drugim jest Saint Jean-d'Acrc. Zatoka, blisko dwu milionowa, przedstawia najwładziejniejsze wybrzeże, jakie oko ludzkie oglądać może.

Kilka minut czasu wystarczy, aby podróżnik, wyszedłszy z głównego rynku Kaify, stanął u podnóża Karmelu. Do klasztoru i kościoła, który się wznosi na jednym zboków góry, wiedzie droga wygodna, wykuta w skale, wśród której odkrywa się przed okiem widnokrąg ukazujący szeroki krajobraz: z jednej strony morze, z drugiej wzgórze Palestyny i wybrzeże Idumei. Na polowie drogi do klasztoru wznosi się dom, służący za szpital dla pielgrzymów i ubogich chrześcijan miasta. Mieszka w nim zawsze jeden z ojców zakonnych, którego obowiązkiem jest przyjmować i obsługiwać tych, którzy szukają tu przytułku i pomocy pod ramionami krzyża Chrystusowego.

Strażnik ten twierdzi miłosierdzia nie przestaje pełnić obowiązków reguły swojej i dwa razy dziennie, o wschodzie i zachodzie słońca, obowiązany jest znajdować się w chórze zakonnym dla odśpiewania jutrzni i nieszpórów.

W klasztorze zamieszkuje rzadko kiedy więcej nad dwóch, trzech zakonników, jakkolwiek jest tu miejsca na więcej pobożnych pustelników, bo tak trzeba nazywać tych ludzi, widujących tylko pielgrzymów, lub chorych. Przyjęto nas gościnnie. Ja dostałem celę wygodną; Arabowie rozłożyli się z końmi na jednym z obszernych dziedzińców klasztoru, który jest już w obecnym czasie zbyt rozległym. Nie zaludniają go już dostatecznie, ani pielgrzymi, ani ojcowie klasztoru.

W towarzystwie tych dwóch, którzy tworzą jakoby twierdzę chrześcijaństwa u progu pustyni przepędziłem wieczór. Odpoczęcie tu jest konieczne dla podróżnika potrzebnem, bo nie znajdzie już prędko miejsca, gdzieby go mógł prawdziwie użyć, a czas, poświęcony mu, straconym nie będzie. Zwiedzenie Karmelu i jaskiń, tak naturalnych, jak wykowanych tu ręką człowieka w skale: pustelni Eliasza i innych proroków, a których to grót znajduje się tu liczba znaczna, przedstawia tak dla myśli, jak dla oka szereg obrazów, niedających się już spotkać nigdzieindziej, bo niema też w historii ludzkości nie, odpowiadającego tym postaciom natchnionym, stojącym na straży swego narodu — słuchającym w skupieniu ducha głosu boskiego wśród spraw świata i stawających się następnie narzędziem, aby głos ten usłyszeli inni. Zwiedzający te jaskinie dozna wrażenia tem większego — wrażenia ogromnego, skoro, przerzuciwszy się wyobraźnią w położenie tych, co tu przebywali przed wiekami, przedstawi sobie życie, pędzone samotnie, podtrzymywane tylko tem, co natura wydat tu mogła wśród rozpadlin skalistych. Wyobraźmy sobie ludzi, mających przed oczyma wśród tego osamotnienia tylko morze — przestrzeń wód dla wzroku człowieka tak nieskończoną, jak wieczność, gdy słuchowi ich dostawał się tylko szum fal i krzyk dzikiego ptactwa.

Eliasz żywny przez kruki — Eliasz przemawiający wśród tej przyrody do takich, jak on, samotników — gromiący ich, ciskający na nich, na swój naród cały, piorunowe groty słów, okrutnie natchnionych — wieszczący Izraelowi g uiew pańskich i odwrócenie się odeń oblicza bożego... co to za postać!

Jest między jaskiniami Karmelu jedna, obszerna a wysoka niezmiernie, wyłobiona niezaprzeczenie ręką ludzką w kamieniu skały, szczególnie twardym, z widokiem otwartym jedynie na morze, którą podanie czyni miejscem gdzie prorok ten zgromadzał inne proroki i nauczał je, gromił, obwieszczał upadek ich i Izraela — oddawał ich na stracenie, aby wytępienymi zostali jako zawodne sługi Boże. Skoro podróżnik przypomni sobie przytem, że prorocy mieli otwarty przystęp do nauczania ludu, że zstępowali z tych wyżyn, aby to czynić, a gotowali się do tego wśród scen tej natury, zamkniętej między morzem a pustynią, obrazy jej wywierają na niego wrażenie stokrotnie spotęgowane i wynosi on ze sobą wspomnienie, niedające się nigdy zapomnieć, zwłaszcza że zstępuje ztąd w pustynię, rozciągającą się smętnie pomiędzy morzem, którego brzegi są płaskie, piaszczyste, a łańcuchem gór, tworzących łańcuch Karmelu. Czarne one są, nagie, skaliste, z cienką warstwą ziemi, zpod której głaz wydobywa się często wysokim dzikim i sterczy pomiędzy ciernistymi krzakami, jedynie tutaj rosnąciami. Góry te ciągną się niemal mil dziesięć wzdłuż, rozsuwając się rzadkokiedy, aby tworzyć wązkie i nie głębokie dolinki. Czasem podróżnik dostrzeże tam wioskę arabską, lub ruinę starożytną, którą roślinność pasożytna oblega i chce wziąć w posiadanie swoje. Czasem ukazuje mu się stado bydła, które pasterze pędzą dla napojenia do źródła — dziedzictwa przeszłości, bo mieszkańcy miast przedwiekowych odkryli je niegdyś, wykowali dla nich w skałach wodozbiory — głębokie studnie, a obecnie miasta te czas tak zmiotł z powierzchni ziemi, że człowiek dzisiejszy nie o nich nie wie i podróżnik stąpa po ich szczątkach, po mozaikach wydostających zpod piasku

nawianego tu z pustyni, spotykając codziennie jakieś ruiny — szczątki świadczące o niezmiernym zaludnieniu tych miejsc, mogących posiadać takie grody o wysoko posuniętej cywilizacji.

Podróżnik francuzki, Lamartine, zwiedzający niegdyś te strony i patrzący na nie wzrokiem poety, opisuje wrażenie, które czynią, ukazując się samotnie wśród miejsc, słusznie dziś nazywanych dzikimi. Mogą one rzucić pytanie: czy i ślady, które stopy jego i współczesnych mu wytlaczają obecnie na ziemi, nie ukazały się tak samo — tak gdzieś nigdzie, oczom, podobnie jak on zadziwionych ludzi przyszłych wieków, którzy z ciekawą niespokojnością oglądać i badać je będą?

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że tamtejsze drogi żelazne zamierzają przyjmować do służby kobiety. Kolej Zakaukaska otrzymała z Petersburga zapytanie: jaka liczba kobiet mogłaby być według obliczenia zarządu przyjęta do biur kolei? Większość wydziałów oświadczyła się za przyjęciem od 25 do 30 na sto.

— Petersburgskie stowarzyszenie pracy kobiet zamierza otworzyć Muzeum wyrobów kobiecych w rozmaitych gałęziach przemysłu.

— Komitet kasy wsparcia podupadłych lekarzy udziela z zapisu D-ra Bęcwiecza po rs. 90 pięciu niezamożnym wdowom po lekarzach Polakach, wyznania chrześcijańskiego, a w braku takich, po lekarzach innych wyznań. Zgłoszenia się przyjmuje wzmiankowany komitet do d. 15 Czerwca.

— Helena Krykusówna, Warszawianka, otrzymała w Paryżu dyplom doktora medycyny. Na doktoryzującą broniła rozprawę na temat: „dzieziczność chorób u dzieci“. Niezamożna i o własnej sile w życie idąca, otrzymała, jako celująca pilnością, 100 fr. miesięcznie od zarządu uniwersyteckiego. Zamierza ona, po złożeniu egzaminu miejscowego, praktykować w Warszawie.

— Dla uczczenia pamięci zmarłego swego męża bar. Stanisławowa Lesser złożyła dla domu starców i sierot przy gminie ewangelickiej 500 rs. Wraz z dziećmi ofiarowała: na szpital dziecienny 500 rs., na żłobek 500 rs., na ochronę imienia Jachowicza 500 rs., na budowę kościoła na Pradze, oraz na przebudowanie kościoła S-go Alexandra po 500 rs., na instytucję wstydzających się zebrać 500 rs., dla szpitala starozakonnych 500. — Między robotników rozdano 4.000 rs., co razem przedstawia 8.000 rs. i jest to najszlachetniejszy sposób uczczenia pamięci zmarłego.

— Elżbieta Gadka, służąca u pp. Klimaszewskich w Łodzi, obchodziła d. 7 Kwietnia jubileusz pięćdziesięcioletniej w rodzinie tej służby. Dzieje życia tej kobiety są dziwnie dramatyczne. Urodziła się w Konstantynopolu, gdzie ojciec jej, włościanin zpod Kalisza, zawędrował gnany burzami życia i gdzie za nim przybyła jego żona. Po śmierci ojca matka wraz z dzieckiem pozostawała czas jakiś w Konstantynopolu, na przedmieściu Galata, aż przyjęła służbę u rodziny bulgarskiej i dostała się do Sofii. Tam matka ta umarła i dziesięcioletnie dziewczę zabrał jakiś poczciwy człowiek, agent handlowy, do Warszawy. Tu poszła do służby, w której pozostawała przez lat siedm, wyszła następnie za męża, za włościanina z Wilanowa, Józefa Gadkę, po sześciu latach, owdowiała i znowu weszła w służbę do pp. Klimaszewskich, mieszkających wtedy w Sandomierskiem, i z temi już się nie rozstając, przebyła u nich lat pięćdziesiąt. Obecnie liczy lat 74.

— Korrespondent „Gazety Świątecznej“ z miasteczka Ostrowia pisze o pomyslnym rozwinięciu się spożywczego sklepu, założonego tam przez

p. Bilewiczową, wdowę po urzędniku. Korrespondent ten jest zdania, że sklepy takie, zakładane po małych miasteczkach, lub wsiach, zwłaszcza parafialnych — sklepy tak zwane „chrześcijańskie“ mogą liczyć na powodzenie, gdyż mają za sobą sympatya publiczności, tylko trzeba sklep taki w odpowiedni towar zaopatrzyć i prowadzić go umiejętnie.

— Lubelski „Bazar Pracy Kobiecej“, liczący przeszło miesiąc istnienia, (otwarty d. 18 z. m.) urządził się bardzo szczęśliwie. Założycielek ma 75, kapitał zakładowy 2.100 rs. został użyty na wynajęcie sklepu, wykup patentu i zaopatrzenie się w towar. Zarząd składa się z ośmiu uczestniczek, na których czele stoi, reprezentująca firmę, p. Szymańska. Osoby, zajmujące się pomyslnym rozwojem zakładu, zwracają uwagę zarządu na ważność skierowania jego działalności w stronę nabywców wiejskich — włościan, przybywających do miasta w dni targowe. Zaopatrują się oni przeważnie w sklepach niższego rzędu, gdzie są wyzyskiwani, nabywając, niby-tanio, towar najlichszy. Owa względna taniość tych sklepów przyciąga do nich, tak tu, jak po wszystkich miastach naszych, nie wyjmując Warszawy, ludność mniej zamożną; trzeba przeciw prąd, pociągający w tym kierunku, odwrócić, zwyciężając przyzwyczajenie, które się stało już nałogiem. W mieście takim, jak Lublin, można by urządzić na targach, gdzie lud wiejski przybywa z produktami gospodarstwa swego, kramy przenośne, podsuwające mu pod oczy przedmioty zbytu, zaopatrzone wyraźnie w napisy ceny, które nawet możnaby dla nieczytelnych obwoływać głośno, co nie przynosiłoby żadnej ujemy zakładowi, będącemu instytucją użytku publicznego. Wydrzeć lud wyzyskowi mniej sumiennych handlarzy i, przy zbyciu rozszerzonym, dać zarobek potrzebującej go robotnicy, to takie pociechy szlachetne, obywatelskie przedsięwzięcie, że coś z zewnętrznej formy poświęcić mu można bez żadnej ujemy dla godności zakładu, a tylko z pozyskaniem sobie zwiększonej sympatii ogółu. Kolporterka, dobrze urządzona po pobliskich miasteczkach i wsiach kościelnych, mogłaby też zbyt „Bazaru“ rozszerzyć. Na Łużycach Saskich, gdzie biedna słowiańska ludność, przez Niemców Wendami zwana, usiłuje skupiać się i jednoczyć, grosza posiadanego z rąk nie wypuszczać, nietylko sklepy własne w miastach dużych dużych, jak naprzykład w Dreźnie, posiada, ale kolporterki jako środka samoobrony używa i chlubi się z tej zabiegliwości swojej, jako z umiejętniej działalności obywatelskiej. W stosunku do pracy kobiecej Bazar Lubelski jest właśnie na tej drodze pracy dla idei, bo, pośrednicząc między robotnicą a kupującym, ułatwia kobiecie żyjącej w rodzinie możność pracy na zbytu, bez wydalania się z domu.

— Towarzystwo Kredytowe Ziemskie listów zastawnych w W. Księstwie Poznańskim przyznało kobietom prawo głosowania przy wyborach na urzędników zarządu.

— Komitet pań, zawiązany w Poznańskim dla niesienia pomocy włościanom galicyjskim, dotkniętym klęską głodu, zebrał 16.716 marek, z której-to summy przesłano komitetowi lwowskiemu 15.000 m., krakowskiemu 1.500 m.

— Klub Staroczechów bardzo się przychylnym okazał dla głosowania kobiet przy wyborach do rad gminnych.

— Rodaczka nasza, utalentowana fortepianistka, przebywająca od lat kilku w Anglii, w Londynie, p. Jonatówna, ofiarowała na rzecz kasy pomocy dla poparcia zubożałych artystów „Arabella Goddard fund“, znaczną sumę 600 funt. sterlin., a którą przyniósł jej koncert na cel ten dany.

— Afrykańska wystawa Stanleya w Londynie „Stanley and African Exhibition“ ściągająca wielkie tłumy zwiedzających, obsługiwana jest przez kobiety, które osobom żądającym tego objaśniają naukowo okazy z dziedziny zoologii i flory afrykańskiej, a tych jest liczba dość znaczna, bo zajmują dwie sale. Kobiety też układały do druku katalogi wystawy i prowadziły ich korekty. Protektorat wystawy dzieli królowa Wiktorya z Królem Belgijskim.

— Za staraniem lady Hamilton i kilku pań z wyższych sfer towarzystwa angielskiego otwartym został w Londynie wieczorny klub dla kobiet zostających w obowiązku służby domowej — resursa, w której salach znajdować się będzie starannie dobrana czytelnia, gdzie będą urządzone wieczorki muzyczne i zebrań, dające uczestniczkom przyjemne i uczciwe przepędzenie wolnego czasu po pracy.

— Mis Meyrick, Angielka, przebywająca w Karlsruhe, nadesłała londyńskiej akademii sztuk pięknych portret Stanleya, malowany przez nią. Na własność ofiarowała go ona angielskiemu Towarzystwu Geograficznemu, gdzie po usunięciu go z wystawy Akademii pomieszczonym zostanie.

— Miss Bain, pierwsza Angielka, która żądała dla siebie, jako dziennikarki, miejsca na galerii reporterów w sali Izby Niższej angielskiego parlamentu i nie otrzymała go, zwróciła się do wielu powag w zakresie polityki i piśmiennictwa z zapytaniem: — W czym leży przeszkoda usuwająca tu kobietę? Odpowiedziało jej przychylnie dla postawionego żądania wiele głosów, a między nimi professor uniwersytetu londyńskiego Stuart, który przeciw dodał, że kobieta powinna otrzymać i wiele praw innych, o które się ubiega, prędzej, niżeli prawo głosowania na członków parlamentu.

— Filantropka francuzka, M-me Lunier, złożyła paryżkiemu Towarzystwu Wstrzemięźliwości 400 fr. na premium konkursowe dla traktatu: — Jakie są skutki dziedziczności w rodzinach pijaków? Jakimi środkami działać można na ich zubożenie? Towarzystwo przyjęło dar i rozpiše konkurs, według którego traktat wspomniany ma wziąć pod uwagę, obok działania środków terapeutycznych, środki moralne, społeczne i w ogóle wszelkie wpływy, mogące tu zwalczać skutki dziedziczności.

— Francuzka siostra miłosierdzia, Giovanna Daffis, otrzymała od rządu francuzkiego krzyż legii honorowej na żądanie beja tunetńskiego, w którego państwie, w mieście Suzie, pełni miłosierzną służbę swoją od 1842 r. Jest-to już starszka bardzo sędziwa, licząca lat 78, ponieważ rodziła się w 1812 r. Zaszczytna oznaka uznania jej zasług przez kraj ojczysty wręczoną jej była w dzień uroczysty, bo w pierwsze święto Wielkiejnocy.

— Jedyne uniwersytet szwajcarski, zamknięty dotąd dla kobiet: uniwersytet w Bazylei, zniósł obecnie to zastrzeżenie.

— Katarzyna Drexel, Amerykanka, córka bogatego bankiera w Filadelfii, wstąpiła po śmierci ojca do zgromadzenia katolickich Sióstr Miłosierdzia w Pittsburgu, rozporządzając ofiarniczo ogromnym majątkiem, trzydziestu milionów dolarów, który otrzymała w spadku po ojcu. Milion sześćset tysięcy dol. oddała na rzecz uniwersytetu katolickiego w Waszyngtonie, resztę zaś przeznaczyła na missye, mające nieść przez pośrednictwo nawróconej kobiety światło ewangelii między Indian i Murzynów amerykańskich. Jest w Anglii, w Salford, towarzystwo założone z celem nawracania na chrystyanizm krajowców Ameryki; założył je kapłan katolicki, ksiądz Vaughan, biskup salfordzki. Siostra Katarzyna, nie będąc jeszcze w zakonie i zajmując się tylko dziełami miłosierdzia chrześcijańskiego, jako filantropka świecka, zwiedzała stacye wspomnianego towarzystwa, istniejące w okolicach Pittsburga i doszła do przekonania, że działanie missyjne powinno zwracać się przeważnie na kobiety i za ich pośrednictwem szerzyć chrześcijaństwo między Indianami. Matki mają w ręku wychowanie dzieci i wogóle kobiety wpływają wszędzie na podniesienie, lub zniesienie poziomu uczuć religijnych: ona też od chwili tak sformułowanego sobie pojęcia rzeczy poczęła działać na Indian — na ich religijne, moralne i umysłowe podniesienie przez poprawienie moralnego i umysłowego stanu kobiet indyjskich, — przez szczerzenie im Wiary Chrystusowej. Obecnie, gdy rozporządza już samodzielnie ogromną fortuną, zapragnęła działać w tym kierunku na szerszą skalę. Postanowiła też obecnie obrócić całe ogromne mienie swoje na wzniesienie w Filadelfii instytucji missyjnej ze szczególnym celem nawracania i oświecania Indianek. Charakterystyczne są

jej słowa, zawarte w liście do misjonarza Indyjan, O. Stefana, dyrektora misyj katolickich w Waszyngtonie: „Niech kobieta uwierzy, niech kobieta ukocha Chrystusa, a wstąpi on jako *panterz dobry* w rodziny i wtedy-to plemienia indyjskie przetrwają się i uspołeczną według zasad miłości i wiary, jaką być będą serca kobiece. Obecnie człowiek biały wytraca je bezlitośnie, jak dzikie zwierzęta, ale zatrzymać się musi w tem grzesznym dziele swoim wobec Chrześcijan“.

Z bieżącej chwili.

— **W Moskwie** urządzone będą w roku bieżącym trzy wystawy: pszczolnictwa, środkowoazyjatycka, i budowli ogniotrwałych. Wystawa pszczolnictwa urządzona w doświadczalnej pasiece Izmailowskiej przez Towarzystwo Aklimatyzacji roślin i zwierząt, otwarta d. 13 Czerwca ma trwać do d. 27 Sierpnia, a składać ma się z siedmiu oddziałów: roślin miododajnych, uli i przyborów pszczolniczych, żywych pszczół w różnych gatunkach, wytworów pszczolnictwa, wzorów gospodarstw pszczolniczych, literatury pszczolniczej i zbiorów naukowych, przedmiotów szkodliwych dla rozwoju pszczolnictwa i sposobów usuwania ich.

— **Z Petersburga** wysłała kilku fabrykantów pełnomocnika swego do Persyi w celu rozszerzenia tam zbytu wyrobów swoich.

— **Warszawska kassa Oszczędności** liczy 43.564 uczestników i posiada wkładów 3.033.911 rs.

— **Środki na budowę kościoła na Pradze** wyczerpały się. Potrzeba jest przecież około stu tysięcy rubli na wykończenie murów zewnętrznych.

— **Wystawa rzemieślnicza** zamknięta będzie d. 5 Maja. Komitet przeznaczył dochód ze sprzedaży w d. 2, 3 i 4 na rzecz Towarzystwa Opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi.

— **Otwarcie stałej wystawy prób i wzorów** nastąpi d. 1 Maja.

— **Salę zarobkowe Staszycy** liczą obecnie 50 stałych pensjonarzy, głównie szewców, krawców, stolarzy i ślusarzy, oraz szwaczek. Mężczyźni są to ogólnie wychodzący ze szpitali rekonwalescenci, kobiety zaś już wiekiem przygnębione i niemogące się utrzymać z igły szwaczki.

— **Kurs pszczolnictwa ogrodnictwa i jedwabnictwa** otwiera się na Koszykach d. 15 Maja. Korrespondencye i zaliczki wszelkie przesyłać należy pod adresem: Muzeum Pszczolnicze, Koszyki Nr. 41.

— **Muzeum zoologiczne** na Koszykach wzbogaciło się znacznymi nabytkami. Wzamian za dublety, ofiarowane paryzkiemu ogrodu botanicznemu „Jardin des Plantes“, muzeum zakładu nadesłało około 100 gatunków ptaków z Wysp Filipińskich, z Madagaskaru i Cieśniny Magielańskiej. Korrespondent Muzeum nadesłał kolekcją ptaków zpoza Morza Kaspijskiego; spodziewany jest zbiór ptaków z Peru od przyrodnika naszego Kalinowskiego, niegdyś towarzysza prof. Dybowskiego, wysłanego obecnie w okolice Limy przez hr. Ksawerego Branickiego. Obecnie Kalinowski udał się w południowe okolice Peru. Bardzo pożytecznego pomocnika ma u siebie nasz w młodym krajowcu, doskonałym strzelcu

— **Gerson** otrzymał od trzech zagranicznych przedsiębiorców propozycją odstąpienia im prawa reprodukcji obrazu: „Kazimierz Odnowiciel“.

— **Styka** pracuje obecnie nad malowaniem obrazów do kościoła w Dąbrowie Wielkiej. Artysta ten otrzymał zamówienie na obraz do wielkiego ołtarza kościoła ewangelickiego w mieście naszym.

— **Komitet Warszaw. Towarzystwa Sztuk Pięknych**, pragnąc zgromadzić na wystawę obrazów Chelmońskiego wszystkie dzieła tego artysty, a nie znając adresu posiadaczy niektórych, uprasza ich za pośrednictwem prasy o wypożyczenie na czas trwania wystawy obrazów: *Dzieci idące do szkoły*, *Odłot żurawi*, *Grabienie siana*, *Chłopiec i dziewczyna*. Koszta przesyłki tam i na powrót, oraz zabezpieczenie ich od ognia, według ceny oznaczonej przez posiadaczy, Towarzystwo przyjmuje na siebie. Adres towarzystwa jest: Warszawa, Krakowskie Przedmieście N 15. Zaręcza też Towarzystwo staranne opakowanie przy przesyłce zwrotnej.

— **Zwłoki Mickiewicza** przybyć mają do Krakowa d. 5 Lipca. Krypta urządzona dla nich na Wawelu niedaleko zwłok Św. Stanisława, będzie oddzielna. Koszta urządzenia-krypty i wzniesienie sarkofagu wynosić będą 4.500 zł. r.

— **Komitet dla wybudowania domu akademickiego** w Krakowie zawiązał się, licząc kilku profesorów w swoim łonie. Należą do niego Asnyk, Weigel, prezydent Szlachetowski.

— **W Pradze** wystawionym jest w Akademii Sztuk Pięknych obraz Siemiradzkiego: „Fryne“. Dzienniki poświęcają mu obszernie recenzje, pełne uwielbienia. Węgierski minister oświaty Csaky oglądał obraz i bawił przy nim całą godzinę.

— **Czeska Akademia Umiejętności** liczy między pierwszych swych członków: prof. Wacława Tomaka, prof. Józefa Embra, prof. Emila Otto, prof. Emila Weyera, prof. Kalouska, prof. Ant. Raude, prof. Studniczkę, prof. Kar. Zengera, prof. Kar.

Koristkę, prof. Wład. Czelakowskiego, prof. Jana Korczala, prof. Jana Gebaura, morawskiego archiwariusza Wincentego Brandla, dyrekt. gimn. w Bernie Franciszka Barborza, poetę Jarosława Vrchlickiego (Emil Frida), rzeźbiarza Józefa Myrbeka, malarza Wacława Brozika i budowniczego Józ. Hlavkę.

— **Nowella Zacharyasiewicza** „Deresz“ została przetłómaczona na język niemiecki i angielski. Kossak wykonał do niej akwarelle.

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** podaje do wiadomości o wakującem stypendyum imienia „Mikołaja Kopernika“ w kwocie 104 rs. dla młodzieńca urodzonego w Królestwie Polskim bez różnicy wyznania i pochodzenia, mającego nie mniej niż 16, nie więcej nad 21 lat wieku, i pragnącego się kształcić **w malarstwie** w kraju lub zagranicą. Pierwszeństwo mają kandydaci niepobierający innego stypendyum.

Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum winni złożyć komitetowi Towarzystwa najpóźniej do dnia 20 Maja r. b. podania na papierze bez stempla z załączeniem następujących dowodów: 1) metryki urodzenia; 2) świadectwa niezamożności; 3) świadectwa o pobieraniu nauk w zakładzie naukowym sztuk pięknych; 4) studyum, poświadczone przez zwierzchność szkolną, iż jest wykonane przez podającego kandydata i 5) przebywający zagranicą, oprócz powyższych dowodów, — złożyć powinni świadectwo Naczelnika gubernii o pozyskaniu paszportu na pobyt zagranicą.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt VI wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Gruzoły limfatyczne, gruszecznik, gruszki, grzyby, gutaperka, guz, gwoździak, gymnastyka, herbata hydropatya, hypnotyzm, hysterya i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda obok pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Pogawędka. — Kraj Rusalek (wiersz), przez Bronisława Grabowskiego. — Notatki pedagogiczne, przez M. Ilnicką. — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — Z ziemi świętej (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9 ty powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 29 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 18 Апрелья 1890 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.



Nr 1. Suknia z kaszmiru i „surah.“

ską, z tej ostatniej był ułożony z przodu ogromny motyl z otwartymi skrzydłami, wąsy miał z piórek, welon z illuzji, wiązany z przodu a wążutkie wstążki do zapięcia pod brodą na szpilki z dwóch stron. Okrągłe noszą się duże, bardzo duże, czarny koronkowy miał całą główkę złożoną z jednego bukietu fioletów z lodygami, drugi także czarny, słomiany, ażurowy, miał jednego motyla dużego złotego z przodu, drugiego w tyle, ogromny welon czworograniasty oszty koronką spadał prawie do kolan — tak do kolan. Żółty słomiany, haftowany słomą, miał płaską główkę trzymającą się tylko na baretce od spodu, w około ronda pod spodem naszyte były końce drobnych strusich piórek, spadające niby diadem na czoło, z wierzchu zaś ogromna kokarda z wstążki grubej szerokiej koloru (ivoire) kości słoniowej, kapelusz był tak ładny, jak wszystkie, których opis jest niedostateczny, trzeba je widzieć, żeby ocenić.

Oprócz tych kapeluszy poważnych, rodzajem nowym fantazyjnym są bardzo ładne kapelusze z kwiatów fasonu toczków, tylko które pani Siwińska Krakowskie-Przedmieście 61,



Nr 4. Mantylka z aksamitu i koronki (do ryc. Nr 8).



Nr 2 i 3. Płaszczki dla chłopczyka od 2—4 lat. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 40—48).



Nr 5—7. Kapelusze dla panienek do 3 lat (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 65—68).

Przeгляд mód.

Modele kapeluszy u pani Bosz. — Kapelusze z kwiatów u pani Siwińskiej. — Nowe rodzaje kapeluszy słomianych u pana Loth'a. — Ze starych sukien robią nowe w farbiarni Geberów.

Tak jak z modelami sukien pana Herzego, tak i z kapeluszymi pani Bosz idzie mi zawsze bardzo trudno opisanie. Są bowiem tak piękne, tak przechodzą wszystko, co fantazyja nasza wytworzyć może, że doprawdy radzę tym, co chcą mieć o tych ślicznych modelach wyobrażenie, nie czytać mego sprawozdania, ale iść wprost i zobaczyć. Sprobuję jednak; — w ogóle kapotki są tak małe, że zaledwie je ozdoba włosów nazwać można, zawsze mniej więcej formy podłożnej przeciętego jajka, niektóre z nich przypominają formy dyrektoryatu. Pierwszy zaraz był takim z blade-niebieskiej „crêpe-chine“ była główka, rondo z czarnej koronki, duży ale to to duży chrząszcz złoty i bukiet drobnych niezapominajek tworzył diadem. Dżety stanowczo i bardzo są w modzie. Druga maciupka kapotka z tiulu złotego, haftowana w gwiazdki prawdziwych turkusów, wierzch zdoł tuft blade-niebieskich piórek strusich. Inny z czarnego tiulu otaczały róże żółtawo-lipowe bez liści z tyłu na włosy trzy pręty złoty, z przodu egretka złoty pokryta tiulem, welon zamiast brydów. Bardzo ładna była kapotka ze słomy jak siatka haftowana w deseń słomą, z przodu diadem z bratków fioletowych aksamitnych, z takichże bratków cała główka. Był jeden niby do żałoby, cały z tiulu i czarnej słomy, naśladowującej krepę angielską,



Nr 8. Mantylka z aksamitu i koronki (do ryc. Nr 4).

znana fabryka kwiatów przygotowała na sezon letni, są tam na wszelkie gusta, bo z każdego drobnego gatunku kwiatów, a co je bardzo zaleca to cena, gdyż od 3 do 4 rs można mieć ładny toczek, idzie tylko o to, że nie każdy chce nosić toczek z samych kwiatów, że trzeba być na to koniecznie młodą i choćby mniej więcej ładną; zawsze takie toczki za fantazyjne tylko ubranie głowy uważać należy, co do mnie, w ogóle toczków za kapelusze nie uważam. Oprócz kapeluszy pani Siwińska przygotowała mnóstwo bardzo ładnych kwiatów, uwiniętych podług modeli paryżkich, które sama na wystawie wybrała, śliczne astry różowe, lila, fantazyjne bukiety, lub całe krzaczki jaśków, zdobici mające całe kapelusze.

Co do czysto-słomianych kapeluszy, które nigdy z mody wyjść nie mogą, to uważam, że fabryka pana Loth'a przyciąga jak zawsze wszelkim wysiłkom innych fabryk, chcących jej robić jakąkolwiek konkurencję — najprzód, materiał jest zawsze zagraniczny a fasony najnowsze. Otóż najmodniejsze słomiane robi się z pleśni siatkowych haftowanych słomą w śliczny jakby koronkowy deseń — tych pleśni pokazywano nam mnó-

stwo wzorów, gatunków i kolorów—jedne od drugich ładniejsze, a fasony o zupełnie niskiej głowie, niektóre na baretce spodniej się tylko utrzymujące — w tyle zupełnie bez rona, które z przodu wystaje tak daleko poza czoło, że dwie spotykające się damy, zamiast powitania pocałunkiem, poprzestać muszą na dziobnięciu się jedna drugą kapeluszem; co prawda, jeżeli kapelusz nie jest ażurowy, to także wystające rondo bardzo chroni od słońca; kwiaty do ozdoby kapeluszy wyrabia zawsze fabryka pana Lotha sama i dla tego ceny kapeluszy nie są wygórowane.

Jeszcze słówko o oszczędności; poza wszelkimi pięknymi materyałami o których pisaliśmy w tegorocznych przeglądach naszych, każda z nas ma w garderobie jedną lub dwie nawet suknie, które niby liczą się już do wyrzucanych i uważane są za zniszczone — otóż takie suknie, które zdają się już prawie nie do noszenia, oddać farbiarni Geberów, Niecała 9, lub Nowy-Swiat 41, a za dni 10 odbiera się je zupełnie w dobrym stanie—wszak na to warto poświęcić kilka rubli i to się zowie prawdziwą oszczędnością — widziałam suknię zieloną koloru rzerzuchy, przyniesioną właśnie do czyszczenia i rozśmiałam się w duchu co z tego być może—za parę tygodni ze zdziwieniem przechodząc ulicą Niecałą, zobaczyłam tę samą suknię w witrynie sklepowej przeistoczoną na nową!

L. C.

Fartuszek szydełkową robotą.

Rycina Nr 21 i 28 w Bl. Nr 17.

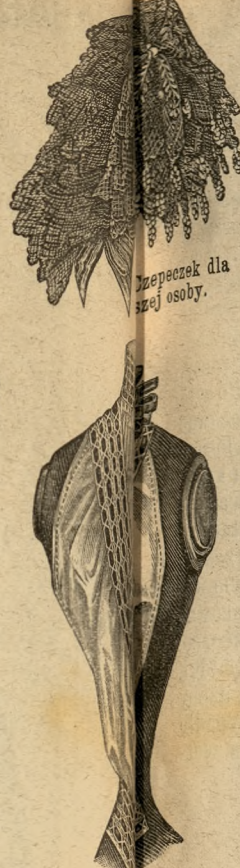
Fartuszek 76 cent. dług. 62 cent. szer. składa się ze szlaku z lnianego pasowanego materyału i szydełkowej wstawki, zakończony u dołu takąż koronką i z boków pikotami. Górny brzeg ułożony w fałdy na 30 cent. szer.



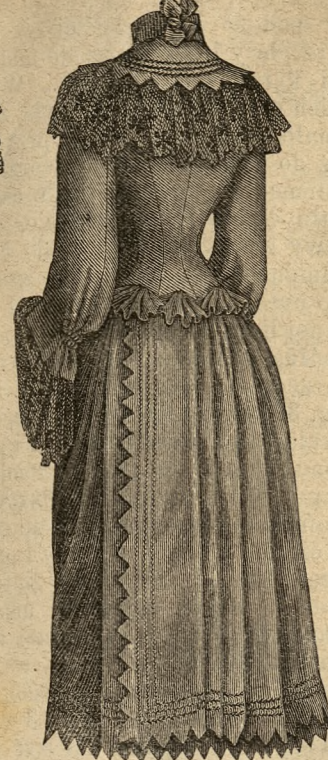
Nr 13. Stanik wraz z kołnierzem i krawatką.



Nr 11. Ranne ubranie z flanelki (do ryciny Nr 12). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 17—26.



Nr 10. „Surah“.



Nr 12. Ranne ubranie z flanelki (do ryc. Nr 11). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 17—26.



Nr 14. Stanik wraz z kołnierzem i krawatką.



Nr 18. Suknia z kre. w wełnianej i „surah“. (Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 34—39.

i ubrany sznurem z kolorowej wełny, zakończonym chwastami. Górną wstawkę wykonać jak następuje: szafirową kręta bawełną; po zrobieniu łańcuszka odpowiedniej długości 1 kolej: Naprzemian: 1 słupek w następne oczko, 1 pow. oczko, 1 ocz. opuścić. — 2 kolej: Ponsową bawełną *, ośmiokrotny słupek. (Na taki słupek należy 8 razy okręcić nitkę na szydełku i przerobić kolejno wszystkie 8 nitek) w następ. ocz. po 5-em pow. o. poprzedniej kolei 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 ośmiokrotny słupek. w 4 pojedyncze poprzednio opuszczone pow. ocz., jednakże za poprzednio wykonan. 4 słupek. t. j. tak, aby te pierwsze przechodziły poza drugie, potem 1 pow. ocz. i od * powtórzyć. Wykonać potem jeszcze raz 1 i 2 kolej i jeszcze raz 1 kolej. Środkową wstawkę wykonać podobnym sposobem, lecz składa się z 4 rzędów. Dolny szlak (Nr 28) wykonać od 1 do 5 kolej, jak poprzednio opisane, następnie 6 kolej: Ponsową bawełną * 7 ścis. ocz. w następne 7 ocz., 3 pow. oczka, 5 podw. słupek, a pomiędzy każdym po 1 pow. ocz. w następne 5 ocz., 3 pow. ocz., 4 ocz. opuścić, od * powtórzyć.—7 kolej: Szafirową bawełną 5 ścis. ocz. w następ. 5 ocz. poprzedniej kolei; * 2 ocz. opuścić, 16 słupek w następ 16 ocz., a pomiędzy każdym 1 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, 2 ścis. ocz. w następ. 2 ocz., od * powtórzyć. — 8 kolej:



Nr 15. Suknia z aksamitu i brokatu.

Nr 16. Suknia ślubna z materyału koronkowego. (Kr. i op. odwr. str. VII, fig. 49—57).

Nr 17. Suknia dla młodej osoby.

Ponsową bawełną 4 ścis. ocz. w pierwsze 4 ocz. z 5-u ścis. ocz., * 2 pow. ocz., 1 słupek. w ocz. pow. następn. po słupek, 3 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słupek. w pow. ocz. pomiędzy 2 i 3 słupek, 2 pow. ocz., 1 słupek. w pow. ocz. między najbliższym i następnym słupek, 3 razy naprzemian: 2 pow. ocz., 1 słupek. w pow. ocz. pomiędzy 2-gim i 3-cim słupek, 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2 z najbliższych 1 ścis. oczek, od * powtórzyć.—9 kolej: Szafirową bawełną, 3 ścis. ocz. w 2 do 4 następn. ocz. poprzedniej kolei, * 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2 pow. ocz. ze słupek, 6 razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następne 2 pow. ocz., 2 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następne ścis. ocz. od * powtórzyć. Przed wykonaniem następnej kolei przyszyć trzeba wstawki do materyału; szlaki te powinny mieć górny 8½ centim., środkowy 13 cent., dolny 30 cent. — 10 kolej: ponsową bawełną, w górnym brzegu rozpocząć, ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w boczny brzeg fartuszka, 1 pikot czyli 4 pow. ocz. i 1 ścis. o. w pierwsze z tychże. Po stosownym odstepie * 5 razy 6 ścis. ocz., z których 2 i 3 oraz 4 i 5 przedzielone pikotem w następ. 5 pow. ocz., ściśle zaś ocz. pikotu przerabiać ciągle w następne ścis. o., potem 2 razy 4 ścis. ocz., z których 2 środkowe przedzielone pikotem w następ. 5 pow. ocz., od * powtórzyć, ale przy każdym powtórzeniu zamiast 5 razy, 4 razy wykonać 6 ścis. ocz. przedzielonych 2 pikotami.



Nr 19. Suknia spacerowa z beżu i aksamitu. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 27—32.

Suknia z kaszmiru i „surah“.

Rycina Nr 1.

Suknia z kaszmiru koloru piaskowego, przybrana „surah“ koloru brązowego. Grelotki pasmanteryjne w tymże kolorze wykończają całość.

Mantylka z aksamitu i koronki.

Rycina Nr 4 i 8.

Mantylka z aksamitu koloru zielonego, zaopatrzona podszewką jedwabną i przybrana czarnymi koronkami.

Czepeczek dla starszej osoby.

Rycina Nr 9.

Postawka z czarnej petynki 28 c. dług., z przodu 10½ c. szer.; nieco w ząb ścięta, z boków zaś 2½ c. szer. Przybranie podług ryc. koronką czarną 10 cent. szer., wstążką czarną morową i pentelkami ze złotych perełek podług ryc.

Napierśnik z „surah“.

Rycina Nr 10.

Napierśnik do noszenia pod wolnym kaftanikiem, wykonany z „surah“ koloru „crème“ ze wstawką koronkową przewlekaną aksamitką i temiż rozetkami.

Stanik wraz z kołnierzykiem i krawatką.

Rycina Nr 13.

Stanik z sukna zarówno odpowiedni do codziennej sukni jak do konnej jazdy. Kołnierzyk stojący z wykładanymi różkami z cienkiego płótna i krawatka z materyału jedwabnego w pasy białe i ponsowe.

Stanik wraz z kołnierzykiem i krawatką.

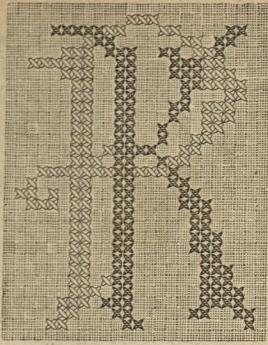
Rycina Nr 14.

Kołnierzyk biały płócienny z koszulką w pasy kolorowe. Stanik z szerokimi wylogami i krawatka jedwabna

wiązana na sposób meżkich kratowatów. Rękawy bufiaste.

Suknia z aksamitu i brokatu.

Rycina Nr 15.

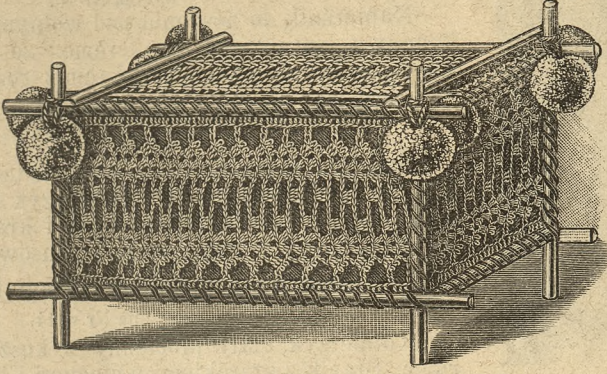


Nr 20. Znak haftowany.

Suknia z aksamitu koloru ciemno - zielonego oraz brokatu jedwabnego koloru różowego. Krój tak zwany „princesse“ z trenem umiarkowanej długości. Wykonanie podług ryciny.

Suknia dla druchny.

Rycina Nr 17.



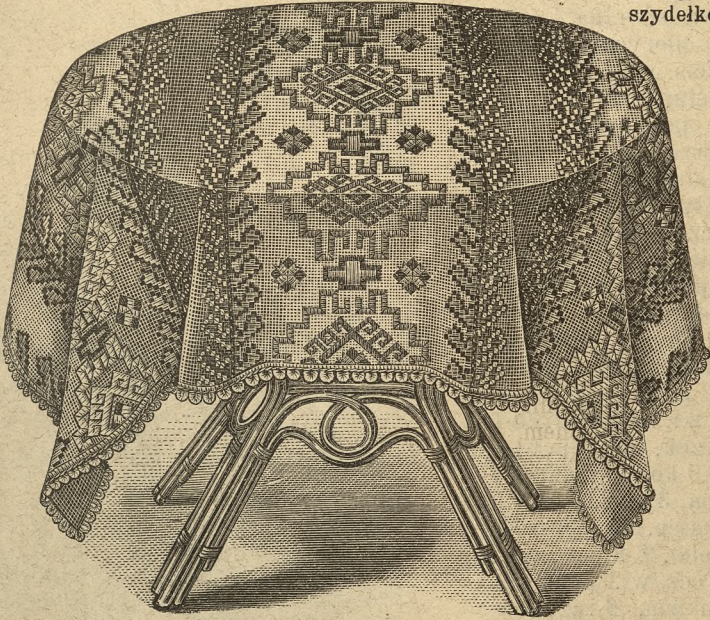
Nr 22. Szkatułeczka ozdobiona robotą szydełkową.

Suknia z kaszmiru ozdobionego haftem. Stanik z rodzajem karczka z kaszmiru haftowanego zapinany z boku, część lewa zupełnie gładka, prawa zaś ułożona w fałdy. Rękawy bufiaste w górnej części, zwężone w dolnej, przybrane haftem.

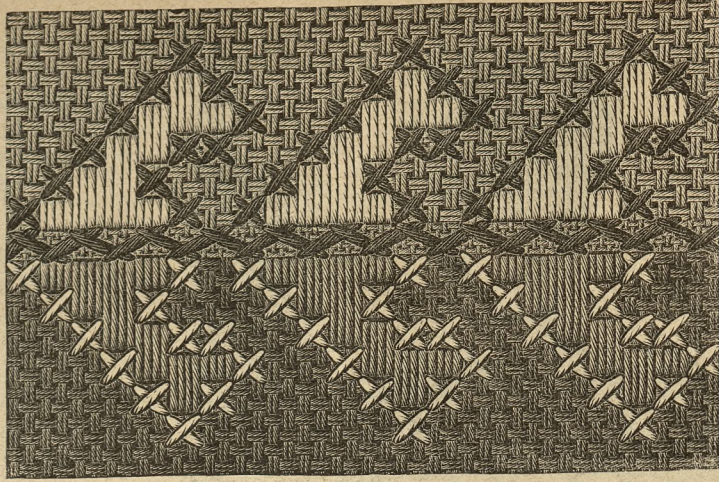
Suknia z krepki wełnianej i „surah“.

Rycina Nr 18. (Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 24-39).

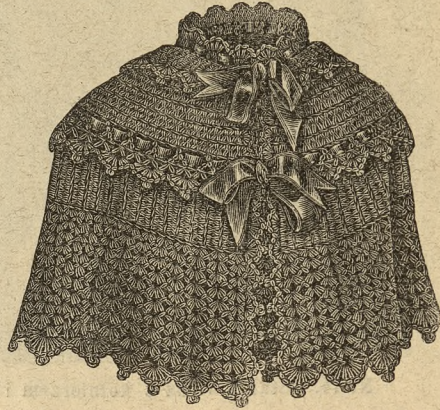
Suknia z wełnianej krepki w drobną kratkę koloru „crème“ ozdobiona tegoż koloru jedwabnem „surah.“ Fig. 34 przedstawia krój przedniej części spódnicy, którą podług cyfr i znaków ułożyć należy odpowiednio. Na wetman skrajać po dopełnieniu złożenia fig. 37 i 38, oraz przydłużeniu w kierunku strzałki: z podszewki fig. 35, z materiału fig. 36 i 37 po dwie części, pierwszą jednak z uwzględnieniem konturu prawej przedniej części. Podług fig. 38 jedną część złożoną wzdłuż środka, z „surah“ zaś podług fig. 39 dwie części. Rękawy



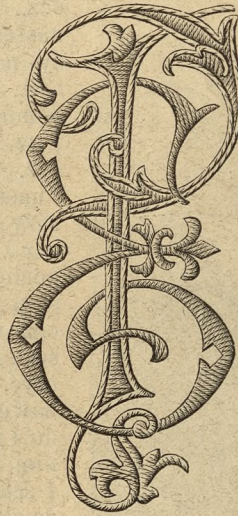
Nr 26. Serwetka na stół ogrodowy lub balkonowy (do ryc. Nr 21 i 27). Ścieg płaski i krzyżowy.



Nr 21. Haft do serwetki Nr 26. (Wielkość oryginalna).



Nr 23. Pelerynka z kapturkiem (robotą szydełkową) do ryc. Nr 24. Kr. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 69.



Nr 25. Znak haftowany.

wykonać z krepki podług fig. 13 i 14 kołnierz z „surah“ podług fig. 9 dzisiejszej tablicy. Zaopatrzyć plecy i boczki aż do fałdy, oraz rękawy i kołnierz podszewką. Wykonać w przednich częściach z podszewki zaszewki, oraz małe fałdki z przodu i przyozdobić takowe aż do linii fałdowanem „surah.“ Następnie umocować w przednich częściach z materiału każdy † na punkcie, przedni brzeg prawy zmarszczyć od * do *, lewy z uwzględnieniem ryciny od linii zgięcia aż do dolnego brzegu, wyłożyć materiał wzdłuż kropkowanej linii przyfastrygować do podszewki podług cyfr i znaków i zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Po wyłożeniu fig. 37 wzdłuż linii zgięcia umocować † na punkcie, jako też w boczach i plecach † oznaczone literami na odpowiednich kropkach. Wielka klamra brązowa wykończa skrzyżowane spięcie stanika. Kołnierz stojący, rękawy i przednia część tiuniki ozdobiona złotym haftem. Bufką rękawów umocować każde 2 † i 3 † na jednej kropce, zmarszczyć górny brzeg w fałdki, wszyć podług ryc. w sposób, ażeby miejsce oznaczone cyfrą 13 wypadło na szew wewnętrzny. Wszyć w wetman podług ryciny.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa czysta z jajami w koszulkach.
2. Sztukamięsa biała z sosem krowym.
3. Szparagi.
4. Kurczęta z sałatą.
5. Śmietana bita z marengami.

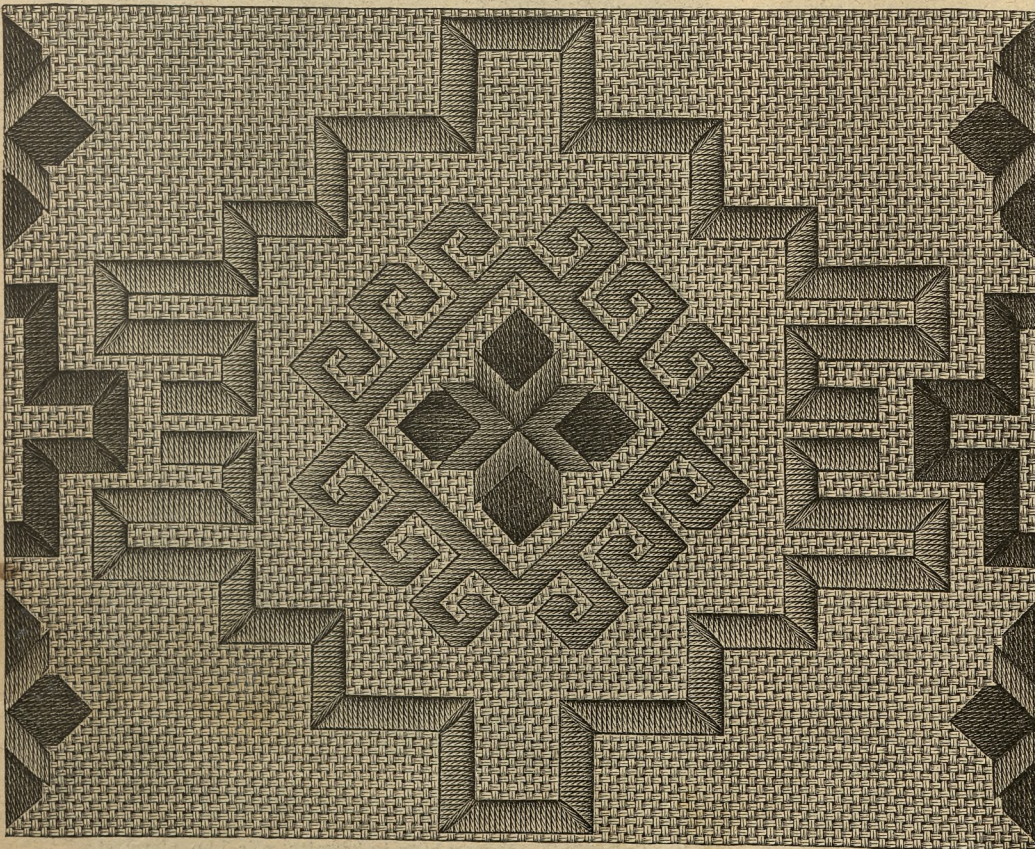


Nr 24. Pelerynka (robotą szydełkową) do ryc. Nr 23. (Kr. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 69).

Opisanie rycin: Nr. 22, 23 i 24, 26, 27 i 21 w przyszłym numerze.

U W A G A.

Tablica krojów dołączona do N-ru 17 Bluszczu służy też do numeru dzisiejszego.



Nr 27. Haft do serwetki Nr 26. (Połowa wielkości oryginalnej).